



BIBLIOTHECA  
URV. JAGELL.  
CRACOVENSIS

588538

Mag. St. Dr.

kaloria  
I

Mag. St. Dr.



588538 I



HENRYK SZOSTY

N A Ł O W A C H

K O M E D Y A

WE TRZECH AKTACH

OPOWIEŚCI ANGIELSKIEY  
NAPISANA

Przez Woyciecha Bogusławskiego.

---

Quid leges sine moribus?....

*Horatius.*

---

XXII



W W A R S Z A W I E

---

M. DCC. XC. II.

# O S O B Y



HENRYK VI. — KROL ANGIELSKI.  
 MIŁORD RYDYNG — *Synowiec pier.  
 wszego Ministra.*  
 LURWELL — *Służący Miłorda.*  
 FERDYNAND KOKL — *Strażnik lasów  
 Królewskich.*  
 MAŁGORZATA — *Zona iego.*  
 RYSZARD — *Syn ich.*  
 ROBERT — *Młynarz.*  
 BETSY — *Córka iego.*  
 KILKU PANOW DWORSKICH.  
 DWOCH GAIOWYCH.  
 SŁUŻBA KROLEWSKA.

---

*Scena jest w lesie Szerud, w okolicach  
 Miasta Mansfield, nie daleko Londynu.*

588538



41992

St. Br. 2007 5.18/m (42)



---

HENRYK SZOSTY

NA ŁOWACH

---

YTCCSZ NYK II

-----

A  
T  
st

(S  
ki  
sz  
rek

N  
nie  
wie  
por  
obi  
bri  
swo  
mo



---

# AKT PIERWSZY

---

*Teatr reprezentuje góry skaliste okryte gęstą krzewiną. Na iedney z niższych stoi Domek Kokla W głębi widać rzekę, na której pływa Młyn spustoszący.*

---

## SCENA PIERWSZA.

RYSZARD (sam)

*(Siedząc na ułomku skały nad brzegiem rzeki zarzuca często wędkę na ryby, ale zawsze wyciąga próżną. Nakoniec upuszcza ją z ręki, i porywa się pełen niespokojności.)*

Nie, ani iedney nawet płotki złapać nie mogę. Prożno strawiłem całe odwieczrze. Westchnienia głośne, które poniewolnie wychodzą z piersi moich, obilała się o skały i odstraszała ryby od brzegów. — Już niedługo słońce bieg swój dzienny zakończy, a udreczeniu mojemu nie będzie końca! Noc tyfiąc

A

razy przykrzejsza jest dla mnie. Jle  
 kroć zmordowane niewczasem zamknę  
 powieki, wyobrażenie Betsy stawa zaraz  
 przedemną, porywam się na tychmiał, i  
 chcę ją przycisnąć do serca.. ale nie nie-  
 znayduję w okolo siebie, tylko cienie  
 okropne. — O Betsy! cała moja istność  
 niszczała bez ciebie! — Już to rok mi-  
 nął iak cię bezwstydnny uwodziciel por-  
 wał z tych lasow, a żaden dzień nie mi-  
 nął, żebym gorzkimi łzami niezapłakał  
 nad załepieniem twoim. Złoto, ta pró-  
 żna mamonna, bezktòrey łatwo się obeysć  
 mogłaś w tych miejscach, także wielkie  
 ponęty miało dla ciebie, ze dla niego  
 porzuciła Oycę, kochankę przyjaciół i  
 życie pełne słodczy! — Ale krzywdzę  
 ją może... Nie, nie wierzę temu, aby do-  
 browolnie wyrzekła się natury i miłości  
 razem. Ten podły zdrajca gwałtem ją  
 porwał zapełne. O gdybym go znał,  
 gdybym wi dział iak się zowie, gdybym  
 mógł dociec miejsca wktórym ją ukry-



wą, .... ale próżna nadzieia! Obieglem wszystkie okolice, kilka razy przeszedłem cały niemal Londyn, patrzałem po wszystkich oknach, szpiegowałem po wszystkich kościołach, po wszystkich widowiskach, po wszystkich ogrodach, ... nie, nigdzie iey widzieć nie mogę. Pasterze tylko nasi widzieli, że iakś Pan wielki trzymał ją na kolanach w poledzie, i śpieszno uciekał gościeńcem; gdy wpadł w gestwinę, stracili go z oczu i dotychczas nie wiemy gdzie się obraca. O Betsy, Betsy, już cie podobno nigdy widzieć nie będę! (*siada na kamieniu zamysłony.*)

## SCENA II.

RYSZARD, GAIOWY.

GAIOWY.

**K**łaniam Mospanie Ryszard. Czy zastane Oycę W Pana wdomu? Nasz Oberstrażnik kazał mu donieść, że Król in-

tro tu nad rzeką będzie polował. Dziś rano rzucili sieć od południa, ale sarny wszystkie pierzchnęły na zachód. Król z całym myśliwstwem pobiegł za niemi, i kto wie, czy nie w Mansfield będzie nocował, bo już się słońce zniżaku zachodowi. Muszę to oznaymić Oycu W Pana.

R Y S Z A R D.

Jest teraz usiebie, zaftaniecie go Waszeć.

G A I O W Y.

Oy zapewne się Pan Koki mocno tym ucieszysz, bo on sobie dawno już życzył, żeby tu Król chciał trochę dziki przepłoszyć. Poydę mu opowiem moje poselstwo. ( *Odchodzi.* )

---

### S C E N A III.

RYSZARD *sam, potym* FERDY-  
NAND i GAIOWY.

O coż nowe dla mnie boleści? Będzie



musiał cały dzień intrzeyszy Oycu pomagać na łowach, a tak otoczony będą zgraja samych wielkich Panow i ich pochlebcow, których cierpieć nie mogę. Jle razy tylko Dworskich ludzi zobaczę, zdaie mi się, że w każdym z nich widzę tego bezwstydnego Zwodziciela, który mi wydarł moję kochańkę, moiego życia połowę!

F E R D Y N A N D

(do Gaiowego z którym wchodzi.)

Dobrze, dobrze Panie Gaiowy. Powiedz Waszeć Oberstrážnikowi, że się Król naylepley w tey skronie uciieszy. Dzikie gdyby karmne wieprze przewalaia się pobłotach, i Niedzwiedzie się znayda. Ale kiedy chcą parkany zarznuć, niechayże ie dziś wieczorem przywlozą, bo iak tylko zrana słonko zabłyśnie, rozchodzą się zwierze na zero-wiska. Proszę pokłonić Oberstrážnikowi.

G A I O W Y.

Niezapomnę. Najniższy Mości Pa-  
nie Kokl.

---

## S C E N A. IV

FERDYNAND, RYSZARD

FERDYNAND.

A co Ryszardzie, przecieśmy się docze-  
kali choć raz tego szczęścia; że Król w  
naszym ftanowisku polować będzie. Lat  
45. żyję na świecie, 20 lat byłem żołnie-  
rzem, a nie miałem jeszcze tey pociechy  
widzieć moiego Króla, tylko na Portre-  
cie. Kiedym rok cały siedział w Londy-  
nie, Henryk chorował długo i powładał  
że się teraz mocno odmienił. Trzeba  
nam møy Synu dzisiejszy nocy śledzić  
po lesie dziki i bawoły, żeby mu iak  
najlepszą iutro sprawić zabawę.

R Y S Z A R D.

Ah! møy Oycze, czemuż serce moje  
tak srodze jest bolem ściśnione! czemu



wspólnie z wami niemogę się cieszyć  
tym szczęściem naszym.

F E R D Y N A N D.

Porzuć mój Synu te próżne narzekania twoje. Czyliż pamięć iedney swawolney dziewczki ma ci odbierać czułość na wszystkie iene rokosze? — Jeszcze ci raz powtarzam, co już tyle razy słyszałeś o demnie: Kobiety tak daleko tylko szacować należy, iak daleko same siebie szacować umieją. Skoro twoja kochanka stała ci się niewierną, straciła prawo do twego serca, bo mój Ryszardzie, gdzie nie masz szacunku, tam nie masz prawdziwego kochania, i tylko to ludzie źli mogą kochać rozpustne kobiety.

R Y S Z A R D.

Znam ią to, i to samo czuję w mey duszy. Ale jeżeli Betsy gwałtem porwana, musiała się poddać przemocy, mamże ią przeto występłą rozumiec?

F E R D Y N A N D.

Niemasz w kochaniu żadnego gwałtu

mòy Synu, mogła być gwałtem porwana, uwięziona, w ścisłym więzieniu zamknięta, ale żaden gwózt niepotrafi zatrzeć w podziwym zeicu tego wrażenia które natura i miłość sprawują. Zapomnieć o Oycu bliskim już grobu, o kochanku, któremu pierwiastkowe poświęciła uczucia, na to potrzeba dobrej uncji powszechnego zgorszenia, jakim są zarżone wszystkie miasta stołeczne. Czyż niepowinna była domyślić się tego, że zgrzybiały iey Oyciec przeięty zgryzotą i hańbą umrze z rozpaczy, albo opuści młyn i całą swolę chudobę? — O! nie raz ie yto zapewne stańło na myśli, co się też i spełniło w istocie. Obeyrzyj się ieno, ten młyn, który niegdyś był przytnikiem szanownego i cały okolicy pożytecznego młynarza, który był raiem ziemskim dla ciebie; . . . patrz iak spustoszały i opuszczony tłucie się tu i owdzie od brzegu do brzegu!

R Y S Z A R D (*przeięty bólem*)

Ah!



F E R D Y N A N D .

Niktby może i niepomyślił o tym, żeby błąd iedney niešťtateczney dziewczki przyniosł niewygodę całej okolicy, zgubił pocziwego Starca i uczynił niešťczesliwym młodzieńca, który w niej całe swoje położył nadzieie! Jm więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej się nią brzydzę, i luź nawet nie chcę słyszeć o niej.

R Y S Z A R D .

Nieuwierzysz kochany Oycze, iak serce moje wawsze ją usprawiedliwia przedemną. Ja sądze, że Betsy czuie te wszystkie boleści, o których wspomniałeś dopiero, ale pilnie zapewne strzeżona, nie może się wyrwać z szponów prześladowcy swojego.

F E R D Y N A N D .

Nie wierzę ja temu. Gdyby chciała, npatrzyłaby przez tak długi czas sposobność wymknięcia się iemu, uciekłaby do nas, a przynajmniej uwiadomiłaby

nas gdzie się znajduie. Ale nie uczyni tego zapewne. Rozpuści wielkiego Swiata, nader mocne ma w sobie ponety. Już ona do tych czas nie tylko zapomniała o tym czym się urodziła, ale może nawet zaparłaby się teraz własnego Oycy, a tym bardziej kochanka, który nieczym nie jest, tylko Synem lednego Strażnika. Moy bracie! ta twoja siermięga w odludnych lasach dobrze się wydaie, ale w oczach wielkiego Swiata upodla istotę nayszczciwszego człowieka.

R Y S Z A R D.

Czy podobna, ażeby z samego ubioru sądzono o ludziach?

F E S Z A R D.

O moy Ryszardzie! tam gdzie wkosztownych hawtach błyszcząca zbrodnia przewodzi, rzadko się trafia, żeby prawdziwa cnota nie zebrała pod murem.

R Y S Z A R D.

Jednakże Betsy, która całą młodość swoją strawiła między ludzmi dalekiemi



od zdań podobnych, która cnotliwie wychowana, kochała czytłość obyczajów, nie podobna aby się tak prędko oamlenić miała.

F E R D Y N A N D.

Tak prędko? Jeden miesiąc dosyć jest na zepsucie serca, nie mającey doświadczenia dziewczyny, a ona rok już cały żyje wtey otchłani. — Nie znasz ty jeszcze iak łatwo występki wpływa do duszy, osobliwie kiedy ci którzy chcą dziewczynę, wdrożyć do zbrodni, okrywają się sztucznie płaszczykiem cnoty. Nie widziałeś ty jeszcze tych modnych Filozofów, tych wystroionych świętoszków, którzy całą swoją umiejętność i chlubę założyli na tym, iakby omamić i uwieść każdą kobietę. Nie masz tam obrotu, sprężyny, intrygi, którychby na to nieużyto. Attencye, i pochlebstwa, pochwały, przysięgi są to ich pierwsze manewry. Daley, idą obietnice, protekcyje Panów, dary, stroje klejnoty, parady,

pałace, ekwipaże, widowiska i wszelkiego rodzaju zbytki. Dodaj do tego wrodzone ułomności kobiet: miłość własną, ambicję, zazdrość, zawiść i chęć brylowania, a ktożby u diabła oparł się tyłu pokusom? Ja sam dalibóg gdybym był kobietą, podobnym się dał zbałamucić.

R Y S Z A R D.

Nie wszystkież przecie kobiety muszą być tak łatwe mój Oycze. Stryienka moja na przykład, chociaż to iey mąż jest Szerzantem w Królewskiej Gwardyi i zawsze w Londynie mieszka; bardzo się uczciwie rządzi i życie przykładnie.

F E R D Y N A N D.

Twoja stryienka mój Synu! jest bardzo zanna gospodyni, ale któraż też kobieta w 60 roku nie jest spokojna? — Powiadał mi iednak pod sekretem ieden Kapral z tey samey kompanii, że kiedy była młoda twoy kochany Stryiaszek często bardzo włącęcy coś jnośli, na gło-



wie niżli swoją grenadyerską czapkę  
 Oy kobiety zawsze są kobiety, i poki  
 tylko będą kobietami, poty... ey daymy  
 im pokoy i mowmy raczey o niedzwie-  
 dziach i dzikach, z którymi łatwieysza.  
 sprawa. No, intro tedy mój Synu! wsta-  
 niemi rowno ześwitem i.... Ale cze-  
 goż się znowu wraca ten gaiowy?

---

S C E N A V.

Ciż G A I O W - Y.

G A I O W Y. (*biegnąc zdyszany*)

**A**H! przepraszam bardzo Mośpanie  
 Ryszardzie. Zapomniałem na wieki, że  
 mam do W Pana także poselstwo. Do-  
 pierom sobie o pół mili przypomniał, i  
 musiałem nazad cwałować, nie chcąc  
 W Panu zawodu uczynić.

R Y S Z A R D.

Coż takiego masz Waszeć do mnie?

G A I O W Y.

Oto Dworzanin jakiś porłyszawszy,

że mnie tutaj wyprawiano, zawołał  
mnie na stronę i z wielką ostrożnością  
wciągnął mi w rękę maliński bielecik,  
prosząc bardzo aby był oddany Rysar-  
dowi Synowi Kokla Strażnika, a że do-  
dał do tego dwa szelingi za fatygę, za  
czym prozę W Pana odebrać. (*szuka  
po torbie i nieznayduje biletu.*) A dalibog  
wszak ja go zgubiłem!

F E R D Y N A N D.

No toś niedarmo poracał pół mili

R Y S Z A R D.

Może go gdzieindziej włożyłeś? (*na-  
stronie.*) Ah! niewiem dla czego serce mi  
strasliwie bije!

G A I O W Y.

Gdzieindziej? (*przypominając sobie*)

Aha, przypominam sobie, za kapelusza  
go wetchnąłem (*wyymuiąc*)

Oto jest, prozę W Pana.

R Y S Z A R D.

(*Odbiera list i spoglądawszy na podpis  
krzyknie z poruszeniem.*)

A! co widzę? Wszak to od niej, po-

znaie dokładnie iey reke. (*otwiera list waptownie i czyta.*)

G A L O W Y.

Czy od niey? oy musi bydz ed niey nie od niego, bo byciego Waszeć tak nie pozerali oczyma. Ani chybi iaka Pani ładna, polubiła W Pana, iakćcie kilka razy wędrowali po mieście i pisze teraz dowas. Oy bo to te Panie w Stolicy o-petanie lubią świeżą zwierzynę. Kłaniam, nie przeszkadzam, życze dobrego szczęścia, ha, ha, ha. (*odchodzi śmiejąc się mocno.*)

S C E N A VI.

F E R D Y N A N D, R Y S Z A R D

RYSZARD. (*przeczytawszy z prędkością bł.*)

AH! nieomyliłem się, przeczucia moje sprawiedliwe były. To od niey, słuchay Oycze co ona pisze, (*czyta*), „Naymilszy Ryszardzie! — a Przekona-



„Iam się na koniec, ale nadto' późno  
 „młoty! że prawdziwa szczęśliwość  
 „znayduie się wstanie, do którego nas  
 „przeznaczyła Opatizność. Dałam  
 „się wykręcić jednemu Młodemu Mi-  
 „lordowi, który obietnicą Małżeństwa  
 „zaślepił oczy moje. Przez rok cały od-  
 „wleczył zdrayca dopelnienie przyrze-  
 „czeń swoich, i naradzie dał mi poznać,  
 „że całym moim udziałem ma być bań-  
 „ka, którą male okrył. Teraz dopie-  
 „ro spadła zasłona omamienia z mych  
 „oczu. i powrociła mi pamięć niewin-  
 „nych rozkoszy, których doznawałam na  
 „łonie Ojca i pocziwego kochanka.  
 „Czuję zgryzoty sumienia, brzydzę się  
 „samą sobą i tym szkaradnym miew-  
 „szem w którym żyję. Uciekam ztąd  
 „intrzygizy nocy, a że nie wiem się  
 „pokazać Ojcu mojemu, przyjdę nay-  
 „przed prosić twojej matki aby go  
 „przebłagać chciała. Nie odmawiajcie  
 „litości

*Pod. 100.*

„litości opuszczoney sierocie, która z  
 „żalu u nóg waszych umierać pragnie.  
 „Ta jest ostatnia nadzieja, którą się  
 „jeszcze cieszy twoja nieszczęśliwa,  
 „ale zawsze cię kochająca Betsy.”

F E R D Y N A N D (*podrzęzniając.*)

„Zawsze cię kochająca Betsy!”, mo-  
 żna mówić śliczne kochanie!

R Y S Z A R D.

Nie... trudno mi jest wierzyć, żeby  
 mnie tym pismem oszukiwać chciała.  
 Wyrazy te są dowodem iey żalu, a jeżeli  
 w iey sercu choć cząstka jeszcze została  
 tej miłości, którą ja dla niey czuję do  
 tych czas, to mam nadzieję, że się po-  
 prawi na potym.

F E R D Y N A N D. (*żartując.*)

O tak, poprawi się zapewne!

R Y S Z A R D.

I wyż otem wątpicie Oycze!

F E R D Y N A N D.

Bynajmniej — O błedny głuptasie!  
 jakże ty łatwem jesteś do oszukania! —

B

Niedomyślasz się więc co znaczą te wszystkie patetyczne morały i oświadczenia? Oto kaprys momentalny, chimera, znudzenie które zbyteczną rokosz ciągnie zwyczajnie za sobą. Pokłóciła się może z swolm Amantem, a pierwszym gniewu zapędzie wyrzekła sama do siebie: „Ucieknę od niego, na złość mu zrobię, niechay późna niewdzięcznik że mnie nie umiał szanować,, ale wgodzinę przybiegl Laufer od Milorda z słodkiem bilecikim, a dodając wagi wyrazom miłośnym położył na stole 500. Gwinejów i pierścień kosztowny, aż natychmiast Jmościenka uśmiechnęła się wdzięcznie, wsiadła do karety, pojechała do swego Amanta i zapomniała o tym że ty żyjesz na świecie.

R Y S Z A R D.

Przeczcucia iednak iakieś zapewniają mnie, że powróci do nas.

F E R D Y N A N D.

O tak powroci, zapewne powróci.



Zdeymie kosztowne ubiory, wdziele grubą kieckę na siebie, wyrzeczę się smacznych łakotków, ażeby mieć rzepę suszoną. Zruci paryskie trzewiki, a boso poydź z chustami do wody, a to wszystko dla twojej miłości! O szczęśliwy Ryszardzie! (*Oglądając się*) Oto tylko co iey niewidać. — Ale, ale Wszak podobno pisze w swym liście „Uciekam ztąd dzisiejszy noc. „ O baczymy też datę iey listu.

R Y S Z A R D. (*otwiera list i czyta.*)

Z Londynu dnia 2. Września.

F E R D Y N A N D.

A dziś mamy już siódmy. (*śmiejąc się mocno.*) Day go diabłu iakże długo te dwie mile idzie!

R Y S Z A R D.

Dłużey już wytrzymać niemogę i na tychmiał sam poydę do niey.

F E R D Y N A N D.

Dokąd?

R Y S Z A R D.

Do Londynu.

F E R D Y N A N D.

A gdzież ją znajdziesz?

R Y S Z A R D.

Wszak pisze, że jest u iakiegoś Mi-  
lorda.

F E R D Y N A N D.

U iakiegoś, ale nie napisała u które-  
go, i w tym także dosyć miała ostrożno-  
ści potrzebney. — Chcesz wystawić się  
na pośmiewisko całego miasta, chcesz o-  
biegać Pałace wszystkich Milordów i od  
bramy do bramy pytać się nadętych  
Szwaycarów. „Czy nie tutaj mieszka  
„Metressa iakiegoś Milorda, nazwi-  
„skiem Betsy, moia niegdyś kochanka,  
„która się dała wykraść od Oycy? „  
Fe. . wstydz się mój Synu! jesteś nie-  
znośnie głupi.

R Y S Z A R D.

Ah wiem co uczynię. Poydę prosto do

Gaiowego który tu przejeżdżał, ten pokaże mi Dworzanina, który mu oddał ten bilet; a od tamtego dowiem się gdzie Betsy mieszka. (*ohoe isé.*)

F E R D Y N A N D.

Co chcesz zrobić? zatrzymaj się... ale cicho. Spostrzegam jakiegoś Dworaka, który uwiązał konia u drzewa i idzie tu ku nam.

R Y S Z A R D. (*patrzac w las.*)

Coż to znaczy? Patrzajno Oycze jak on z pomiędzy krzaków skrada się po mału.

S C E N A VII.

F E R D Y N A N D, R Y S Z A R D,

L U R W E L L.

L U R W E L L.

(*Skrada się ostrożnie z krzaków, upatruie po wszystkich stronach, nareszcie spostrzega Ferdynanda z Synem i woła na nich zdaleka.*)



**H**Ey przyjaciele! czy tuteysi iścieście?

F E R D Y N A N D.

Tuteysi Mospanie. Czegoż W Panu  
potrzeba?

L U R W E L L. (*zbliżając się ku nim.*)

Powiedzcie no mi, czy nie należy ta  
chałupa do młyna, w którym mieszka  
stary Młynarz Robert.

R Y S Z A R D.

Wcale nie. Już tego staruszka tu  
niema. Przeniósł się do miasteczka  
Mansfield, a młyn jego opuszczony puł-  
kami stoi.

L U R W E L L.

Do Mansfield? tam do kata za nie  
moie szukanie. (*na stronie.*) Ona zapewne  
wie już o tym i poszła prosto do Oycy.

F E R D Y N A N D.

A kogoż to W Pan szukasz, niech się  
opytać godzi?

L U R W E L L.

Moi bracia, przyznaycie mi się szczerze, czy nie jesteście czasem przyiaciołmi tego młynarza, o którym wspominałem.

R Y S Z A R D. (*cicho do Ojca.*)

Ab! co w tym jest mój Ojciec.

F E R D Y N A N D.

Nie mój Panie, my tu niedawno mieszkamy i; tylkośmy słyszeli, że przed rokiem był tu jakiś Robert w tym młynie. (*cicho do Syna.*) Zmyślamy, dowiemy się wszystkiego.

L U R W E L L.

Nie dawno tu mieszkacie? (*na stronie*  
To zapewne nie oni, (*głośno.*) Ale musicie znać przynajmniej tutejszego strażnika Kokla i jego Syna Ryszarda?

F E R D Y N A N D. (*cicho do Syna.*)

Nie daymy się poznać. (*głośno.*) O inż go dawno z tąd wyforowano. Był to mój wielki nieprzyjaciel, ale wygrzłem

go ztąd, i jestem teraz to samo co on.

L U R W E L L.

O kiedy tak, to dobrze. Ponieważ nie znacie Roberta a Kokla nieprzyjaciółmi jesteście, mogą wam się bezpiecznie zwierzyć pewnego sekretu, w którym jeżeli mi zechcecie dopomódz wielka was nadgroda czeka.

F E R D Y N A N D.

Chętnie bardzo.

R Y S Z A R D.

Bardzo chętnie. Cóż nam W Pan rozkażesz?

L U R W E L L.

O to macie wiedzieć, że szukam w tym lesie jedney dziewczyny która uciekła wczorayszey nocy od moiego Pana z Londynu. Jest to córka tego Roberta o którym wam wspomniałem. Pan mój wykradł ją był z tych lasów, i cały rok była Metressa u niego, szukaliśmy jey na darmo po całym Londynie, dzisiaj rozbiegli się szpiegi na wszystkie



strony, a mnie tutaj wysłano rozumie-  
 iac, że poydzie do Oycy. 200. Gwineów  
 obiecane są temu ktoby ją złapał. —  
 Wiecież co, trzeba nam tu sobie po  
 ministrowsku postąpić, i te 200. Gwineów  
 tak sztucznie zacapić, żeby się nawet  
 niezdawało że do naszey weszły kiesz-  
 ni. Wy co tchu pośpiezcie do Mansfield,  
 aż by uprzedzić innych postąfrów. Je-  
 żeli tam złapiecie Betsy trzymajcież  
 ją wiakim mieyscu dobrze zasłoniętą.  
 Ja nie mam rozkazu daley iechać iak do  
 tego domu, muszę się więc powracać do  
 Pana, który o pół mili czeka na mnie  
 w tym lesie, ale iak tylko zdam mu ra-  
 port, iż tu niema Kokla, a Robert  
 znayduie się w Mansfield, Milord an-  
 chybi pośle mnie zaraz do niego. Ja tedy  
 galopem przybiegnę do was. Przywiozę  
 Milordowi iego dezenterkę, i 200. Gwine-  
 ów capnę do kieszeni. — (postrzegając  
 się niby) ... któremi się zwami wier-  
 nie podzielę.



F E R D Y N A N D.

Po ministrowku zapewne?

L U R W E L L.

Bynajmniej. Doftaniecie obydwu po  
piędziesiąt....

F E R D Y N A N D.

Bizonów które nas nie miną zapewne  
jeżeli Robert uda się do Zwierzchności  
o nayście domu jego, i wyrządzony gwałt  
publicznemu bezpieczeństwu.

L U R W E L L.

A co tam bzdurzysz mój bracie, mój  
Pao jak brząkanie workiem, sprawiedli-  
wość ogłuchnie natychmiast.

F E R D Y N A N D.

A gdy Robert poda suplikę do Króla?

L U R W E L L.

Gdyby ich sto podał, wszystkim w lo-  
cieiby poukręcamy. Milord jest Syno-  
wcem pierwszego Ministra, sądź więc je-  
żeli Suplika przeciwko niemu może  
kiedy dożyć do rąk Królewskich.

F E R D Y N A N D.

Jakże się ten W Pana Milord nazywa?

LURWELL.

Nazywa się Milord Rydyng. Pan wielki i niezmiernie bogaty.

FERDYNAND.

Milord Rydyng? muszę sobie to imię napisać. (*Wyimuje pugilares i zapisuje sobie.*)

RYSZARD.

Żebyśmy wiedzieli jak W Pana pomyslnie usłużyć w tej mierze, powiedź nam proszę, jakim sposobem Milord dośfał tej dziewczyny do siebie? Czy ją gwałtem porwano, czy też dobrowolnie poszła do niego?

LURWELL.

W tym was doskonale uwiadomić nie mogę, bo natenczas jeszcze nie byłem w służbie u moiego Pana. Powiadano mi tylko, że Milord miał wielkiego faworyta Koniuszego, który przypadkiem poznał się z tą dziewczyną tu na polowaniu, a widząc ją bardzo nadobną chciał się z nią ożenić w nadziei, że puściwszy ją na rzeszoto modnego świata, dorobi



się przy niej wielkich majątków. Że zaś dziewczyna nie chciała przyjąć tego reki, przez zemstę wskazał ją swojemu Pannu, który jest dziś najpierwszym zwodzicielem w Londynie. Upatrzywszy tedy dzień jeden kiedy Ojca nie było w domu, wpadli obydwaj do Młyna, i już to obletnicami już gwałtem nakłaniali ją że się dała wykraść.

R Y S Z A R D. *(na stronie)*

O Nieba!

F E R D Y N A N D.

Jeżeli sama się dała namówić, dla czego uciekła od Pana? Niemusiła iey zapewne zbywać na niczym?

L U R W E L L.

Iey zaś zbywać miało by na czym? Ha mój Panie niewiem jeżeli by iey w Sarajnie wielkiego Sultana lepiej być mogło. Toć to tam złoto iak grad padało do niej. Ot zwyczajnie prostytutka;... a w czym też sobie już najglupiej postąpiła to wtym, że uciekając, zostawi-

ła wszystkie prezenta, brylanty, pieniądze, które miała od Pana, zabrała tylko jakiś papier, który Milorda najwięcej odchodzi, bo w nim ma się znajdować przyrzeczenie małżeństwa na piśmie, które iey dał chcąc ją oszukać.

FERDYNAND.

Musiła jednakże mieć jakowyś powód do tej ucieczki?

LURWELL.

Mój Pan domyśla się, że to uczyniła dla miłości swojego Amanta, kochała się bowiem w synie owego Kokla Strażnika, o którym wam wspomniałem.

RYSZARD, (*pokrywając radość.*)

Czy podobna? co W Pan mówisz? dla miłości swego Amanta miało to uczynić!

LURWELL.

Tak mówią, ale bardzo głupio sobie postąpiła, bo to miał być strasznie niezgrabny osieł parobczyko.

FERDYNAND, (*patrząc misternie na Ryszarda.*)

Jak W Pan mówisz? niezgrabny osieł,  
parobczyśko?

L U R W E L L.

Oyciec zaś jego miał być gdyracz  
nieznośny.

RYSZARD, *(spoglądając podobnie na Ojca.)*

Jak W Pan mówisz? gdyracz niezno-  
śny?

L U R W E L L.

Jego mi się też Pan naybardziej wy-  
strzegać kazał, bo iak mu powiadano,  
ma być zuch straszny. Długo służył za  
żołnierza, i nikomu sobie nieda grać na  
nosie. Opisywano mi go dobrze z figu-  
rnomii, abym go mógł poznać. Jest chu-  
dy czarno zarasta i ma kryzę na pysku  
po lewey stronie, którey dostał na wojnie  
.. *(spozstrzegając na twarzy kryzę u Ferdy-  
nanda)*

Ale czy mi się zdaie, podobno i W.  
Pan masz także kryzę po tey samey  
stronie?...

F E R D Y N A N D.

Nie, to mnie niedawno Niedzwiedź  
zadrasnął po gębie.



LURWELL.

Na, niebawmy więc dłużej. Wy spies-  
zcie się czym prędzej do Mansfield, a  
ja powracam do Pana. Sprawcie się tyl-  
ko obrotnie a pewne będą dukaty. A-  
dien. (*odchodzi.*)

FERDYNAND.

Spuść się W Pan na nas sprawiemy  
się po ministrowku.

SCENA VIII.

FERDYNAND, RYSZARD, *potym*  
BETSY.

FERDYNAND. (*po odejściu Lurwella.*)

**P**Oczekaj obieciu, postąpię ja z to-  
bą po ministrowku. Daley Ryszardzie  
ponieważ wiemy teraz iak się ten,  
zdrayca Milord nazywa, znajdziemy  
przecież sprawiedliwość na niego. Jutro  
sam upadnę Krolowi do nóg i opowiem  
całą historyą. Henryk jest dobrym Mo-  
narchą, wysłucha mnie i ukarze zape-  
wne tak czarny postępek, ba i czemużby

nie miał ukarać! Alboż Król niema być  
sprawiedliwym Sędzią występnym, a  
pod porą skrzywdzonych?

R Y S Z A R D.

Co słyszysz? Ah! mój Ojciec chcesz się  
więc teraz do mojego losu przyłożyć,  
nie lesteś już więcej nieprzyjacielem  
Betsy?

F E R D Y N A N D.

Mój Synu, póki twoja Betsy wystę-  
pna była w mych oczach, nienawidziłem  
ją na ów czas, ale kiedy chce znowu po-  
wrócić do cnoty, mam wzgląd na słabość  
ludzkiej natury. Człowiek poczciwy  
powinien być zawsze nieprzyjacielem  
zbrodni, ale należy się podać rękę ludz-  
kości kiedy z upadku powstała. *(Tu wy-  
chodzi Betsy z lasu, a postrzegłszy ich o-  
bydwoch, zbliża się ku nim pomatu z wiel-  
ką niesmiałością.)* Idźmy Ryszardzie. Ty  
wsiadaj na konia i jedź śpieszo drogą  
ku Mansfield, ja zaś zaczekam tu na  
wielkim gościńcu i pilnować będę, aby  
jej nieschwymano, jeżeliby czasem ucie-

Kła w te strony. (*chcą odejść obydwaj;  
a w tym spostrzegają Betsy.*) RYSZARD,  
(*przebiegniony.*)

Ah! co widzę to ona!

B E T S Y.

(*która między obiema pada na kolana.*)

Zatrzymajcie się i raczcie rzucić o-  
kiem na nieszczęśliwą sierotę.

FERDYNAND, (*uchylając kapelusza.*)

Najmlodszy sługa Jmości Dobrodzieyki.

R Y S Z A R D:

Ah! Betsy ciebie ja to oglądam! (*pod-  
nosząc ją:*) Wstań wznieś te oczy, któ-  
rych spoyrzenia tak wielką niegdys  
przemoc miały nad sercem moim.

B E T S Y.

O Ryszardzie! po tej straszliwej obel-  
dze jaką miłości twojej wyrządziłam,  
nie mogę spoyrzeć na ciebie bez za-  
wstyżenia. Nieśmiem i przystąpić do  
was.

R Y S Z A R D.

A ja widząc cię w tym stroju, nie-

C



śmiem nawet wierzyć, że jesteś córką ie-  
dnego młynarza, a tym bardziej, żeś  
mnie kiedy kochała. O mój Boże, jak  
to jedno marne odzienie różnemi nas od  
siebie czyni! Ja niepodobnego dać ci nie-  
mogliem, serce tylko jedno miałem peł-  
ne miłości, to całe było dla ciebie, to w  
tobie i przez ciebie jedynie żyło. Nieste-  
ty! jeden moment najsłodsze moje po-  
targał nadzieje!

BALETRSY.

Zasłużyłam na te wyrzuty, warta ie-  
stem twojej pogardy, ale niżej wzgląd  
na moje boleści. O gdybyś wiedział mój  
Ryszardzie, jak tyfiącznych, a mocnych  
fideł używa zbrodnia na podeyscie nie-  
winney prośoty, wybaczyłbyś niedo-  
świadczeni mojemu. Ale nie, niepowi-  
nien jest tego uczynić. Litości tylko, że  
brze od ciebie, znam bowiem, że prze-  
baczenia nie warta, ani go się spodzie-  
wać mogę. Jedyna łaska o którą was pro-  
sić ośmielam się, jest: abyście mnie za-

prowadzili do nóg oycy meiego, i wstrzy-  
 mali przekleństwa, które sprawiedliwie  
 rzucić może na niewdzięczną swą córkę  
 ( *do Ferdynanda* ) Do ciebie w tym proź-  
 by moje obracam. Ty, który miałeś być  
 drugim oycem moim, pogodź mnie z na-  
 turą, przynieś ulgę zgryzotom nieszcze-  
 śliwego starca, wracając na łono iego,  
 córkę załnującą występki swoich. Ty  
 byłeś zawsze więcej niż przyjacielem  
 iego, ty prawie bratem iego byłeś; coby  
 odmówił łzom moim, nieodmówi czulej  
 iego przyjaźni. Weź mnie w opiekę, a  
 Bóg nadgrodzi litość swoją dla mnie! —  
 Ale coż to? odwracasz oczy, niechcesz  
 nawet i spórzec na mnie?

FERDYNAND, ( *zimno* )

Wstamy Jmóść z wędrowki.

BERTY, ( *we łzach, całą załamując ręce* )

Nieszczęściu! już więc straciłam wszyst-  
 kie nadzieje na ziemi, hańba tylko  
 wstyd ma być odtąd udziałem moim!  
 ( *padając na kolano* ) Ah! przez ten gru-  
 mień łez rzewnych, zaklinam cie mój

Oycze! nie odrzucay mnie od siebie. O! gdybyś wiedział iak strasliwą jest dla serc występnych męczarnią ta wzgarda pocziwych ludzi! — Nieodstąpię od ciebie, umrę u nóg twoich, jeżeli mi przebaczyć nie zechcesz.

R Y S Z A R D.

Ah! oycze mój, możesz być tak okrutnym!

F E R D Y N A N D.

Nieszczęśliwa! patrzay iak daleko występpek upodla człowieka, kiedy go przymusza, aż do czolgania się u nóg podobnego sobie stworzenia! — Wstań dosyć już tych szlochów. (do Ryszardu.) Przestańże i ty krzywić tę swoją gębę, bo czuję, że i jałym się nie długo rozbeczal. No już się stało, zapomniemy o wszystkim. Zaprowadzę cię do twego Oycy, ale zrzuć mi zaraz te czartowskie odzienia kteremi rzadko kiedy cnota się okrywa. Powiedz matce, żeby jej swojej kiecki pożyczyła. Niechay jej Oyciec nie widzi w tym stroju, mogli-

by się bardziej stać nieprzebragany.

B E T S Y. ) całując go w rękę. )

Ah! wszystko uczynię, co mi tylko rozkażesz mój Oycze.

F E R D Y N A N D. (wydzierając się.)

Nie całuyże mnie w rękę moja kochana, bo zaraz mi się zdaie że u dworu jestem, gdzie cię z ledney strony całują, a z drugiej kolą.

R Y S Z A R D.

Niebawmy się dłużej mój Oycze! Wszak wiesz, że iey szukała wszędzie. Gdyby przypadkiem napadli tu na nas szpiegowie, zginelibyśmy na zawsze.

B E T S Y. (przełknięta.)

Co mówisz? szukano mnie tu?

F E R D Y N A N D.

Tak w samey rzeczy, ale nie obawiaj się niczego. (tu słysząc hałas.) Cóż to jest? zdaie mi się, że tentnienie koni



słyszcie na sółdificu. Obaczmy ieno. (*idą  
wszystcy w głąb sceny.*)

R Y S Z A R D.

Co widzę? Wszak to ten sam dworzanin, który tu był, iedzie i z drugim jakimś Panem. Ah! zapewne to Milord!

B E T S Y, (*poznając Milorda z krzykiem.*)

Przebóg! to on sam! O Boże! zakryj mnie przed jego wzrokiem!

F E R D Y N A N D.

Bieź do chałupy i schoway się do al-  
kierza. Ty Ryszardzie idź za nią,  
zamknij drzwi na zamek i podeprzyj  
dylem zeirzodka. Ja tu na pikiecie zo-  
stanę i wystrzymam ten pierwszy atak.  
(*Betsy wpada do chałupy, Ryszard, i za-  
myka gwałtownie drzwi za sobą.*)

## SCENA IX.

MILORD, LURWELL;

FERDYNAND,

LURWELL, (*który wypadając przed  
Milordem postrzega jeszcze wchodzącą do  
domu Betsy.*)

O To jest, oto jest Mości Dobrodzie-  
in.

MILORD.

Tak jest, ona sama, poznałem ją od  
razu; w tych nawet sukniach uciekła.

LURWELL. (*do Ferdynanda*)

A co? gdzieście ją złapali? zapewne  
tu sama przybiegła?

FERDYNAND.

Kto taki?

MILORD.

Ta dziewczyna, która wpadła do do-  
mu tego, wszak to jest Betsy?

F E R D Y N A N D.

Jaka Betsy?

L O R W E L L.

Córka tego miynarza, o którym wam mowiłem. Ta sama co uciekła od moiego Pana.

F E R D Y N A N D.

Nie, to nie ona.

M I L O R D.

Jako zuchwalcze! śmiesz ją przede mną zapierać? Alboż ja to doskonale iey nie znam?

F E R D Y N A N D.

Tey, która jest teraz u mnie, niea znasz W Pan zapewne.

M I L O R D.

Jest to ta sama, którą wzięłem z tych lasów, i przez rok cały trzymałem u siebie.

F E R D Y N A N D.

Otoż to właśnie nie ta sama. Tamta była Betsy występna, żyjąca w zgorzce

niu i wspólnica W Pana nierzadn, a to  
 jest Betsy żalująca swych zbrodni i po-  
 wracająca do cnoty.

M I L O R D.

Cóż widzę po minie tego zuchwalca,  
 że chce sobie zemną żarciki stroić, ( do  
*Lurwella* ) Idź do chatupy i przyprowadź  
 mi ją natychmiast.

*GOING DOWN*

L U R W E L L, ( *chcąc iść do domu.* )

Dobrze Mości Dobrodzieiu.

F E R D Y N A N D, ( *biorąc go za pierś.* )

Jezeli mi jeszcze krok ieden postąpisz,  
 uduszę cię jak kota.

M I L O R D, ( *ze złością.* )

A cóż to ty śmiesz robić niegodziwy  
 hultaiu...

F E R D Y N A N D.

Hultaiu! . . . Mospanie, proszę skro-  
 mniejszych używać wyrazów. Ja się  
 hultaystwem nie bawię. Służę Królowi  
 i jestem strażnikiem tych lasów.



M I L O R D.

Jak się nazywasz?

F E R D Y N A N D.

Ferdynand Kokl, niegdyś Sierżant  
półku Hrabiego de Winczester, czego oto  
jeszcze nosze dowody, *(pokazując mu me-  
dalik na wstążce.)*

L U R W E L L. *(na stronie.)*

Ah! to ten sam. O filut iakże mnie  
oszukał!

M I L O R D.

Rozumiesz ty więc śmiałku, że ten  
medalik daie ci prawo tak zuchwale się  
stawiać ludziom moiey dystrynkcyi? A  
wiesz ty zkim masz do czynienia?

F E R D Y N A N D.

Widzę, że W Pan masz oczy, nos, gę-  
bę i całą postać do moiey podobną, a  
ztańd wnoszę, żeś człowiek taki iak ja.

M I L O R D.

Wiedźże otym zuchwały trefniśiu, że  
jestem Milord Rydyng, Synowiec mini-  
stra.

## FERDYNAND.

A co tego wcalebym się nie był domyślił, chyba z tych kosztownych ubiorów, które W Pan dzwigasz na sobie. Ale przyodziej tylko niemi swojego służalca, a zobaczysz jeżeli iaka między wami będzie różnica.

## MILORD.

A już też nadto tey zuchwałości. Poczekaj, nauczę ja ciebie niegodziwy hultaju, co to jest respekt dla osób meiego stanu.

## FERDYNAND.

Mospanie, ... proszę W Pana niechże ten wyraz hultaia ostatni już raz od niego slysze. Winien jestem W Panu respekt iako osobie wyższego stanu, ale rozumiem, że ci go w niczym nieuwłaczę, kiedy mówię, że jesteś człowiekiem do mnie podobnym. Czyliż masz być pół bogiem w mych oczach, dla tego, że jesteś bogatym! — Wreście gnieway, się W Pan iak chcesz muszę ci powiedzieć

prawdę! Żołnierz który lat 20. dzwigał karabin na plecach, okryty bliznami ran, które odebrał zasłaniając pierśmi Ojczyznę, wart jest zdaćmi się iednego pysznego młokosa, który prócz zbytków i zgorzenia obyczajów, nic więcej nie przyniosł swemu Kraiowi.

M I L O R D.

A już też to przechodzi wszystkie granice. Do jutra, do jutra sprawa, Mo-spanie śmiałku. Wylecisz mi ty zaraz z tego strażnikowstwa.

F E R D Y N A N D.

Mnieysza oto. Niebędę więcej oglądał podobnych W Panu.

M I L O R D, (*choćąc wejść do domu.*)

Ustąp się z drogi natychmiast, rozkażę ci imieniem ministra.

F E R D Y N A N D.

Minister żadnego gwałtu wdomu moim czynić nie może. Jestem człowiek wolny, ta ziemia, na której stoję, jest

moja własna, kupilem ją sobie i kiedy  
potrzeba będzie pokażę tego dowody.

M I L O R D, (*dobywając pałasza.*)

Precz mi z tad mówię, bo ten pa-  
łas w pierśiach twoich utopię.

F E R D Y N A N D.

(*porywając się do pistoletu.*)

Mospanie, zaklinam W Pana, niecha-  
ciey mnie przymuszać do tego, ażebym  
cię nareście przekonał, że nie jesteś ni-  
czym więcej tylko człowiekiem. Ta  
kula równie Milorda iak i ostatniego  
zebraka trupem położyć może.

M I L O R D.

Jako tybyś śmiał do mnie wystrzelić;  
ty łotrze, hultaju, szubrawcze...

F E R D Y N A N D, (*naciągając kurek.*)

Mospanie. ... niewytrzymam dłużej,

M I L O R D, (*odstępując od niego.*)

Dobrze, dobrze, będziesz ty wisiał  
za to, zboyco ty leśny. ... (*tu widząc*



*błyskawicę w obłokach. ) Ale còż to jest?  
zdale mi się że błyka na Niebie!*

L U R W E L L, (*przełękniony.*)

*I mnie się to samo zdale! ( Tu się  
znowu błyska i słychać grzmot.)*

M I L O R D, (*z wielkim przestachem.*)

*Przebog! co słysze? grzmoty? — ah!  
Lurwell umieram.*

L U R W E L L.

*Uciekamy ztąd czym prędzej! Pan  
strasliwiej boisz się piorunów, a one naj-  
częściej w lasach zwykły uderzać.*

F E R D Y N A N D, (*śmiejąc się.*)

*Coż to jest? Jegomościę się grzmotów  
obawia? ha, ha, ha. A w còż się obio-  
ciła owa wielkość więcej niż ludzka? —  
Milordowie niepowinni by się i piorunów  
nawet obawiać, ponieważ takie półboż-  
ki i nadpowietrznym rzeczem rozkazy-  
wać mogą. Ale schowaj W Pan ten pa-  
łasz, ięgo ostry koniec mogłby iak kon-*

dnaktor na wieżę, ściągnąć na głowę W  
Pana pioruny, *(tu się znowu błyska i piorun uderza.)*

M I L O R D,

*(z krzykiem upuszczając pałasz na ziemię.)*

Ah! nieszczęśliwy! podobno zabity jestem? *(chowa głowę na piersi Lurwella.)*

F E R D Y N A N D.

Nic to nic, to tylko żarty. Tu tego tyfiącami uderza w te skały.

L U R W E L L.

Daymi Pan rękę, poprowadzę go do konia. Oddalmy się z tego miejsca co prędzey nim większa burza nadeydzie. *(Milord dało mu rękę, zakrywa sobie oczy płaszczem i cały drżący odchodzi.)*

F E R D Y N A N D, *(do Lurwella)*

A co Mospanie nasze 200. Gwineów kiedy podzielimy?

L U R W E L L.

Poczekaj flucie, rozmowiemy się in-

tro, nie wydzie ci ta sztuka na sucho.  
(*odchodzą.*)

## SCENA. X

FERDYNAND, RYSZARD

FERDYNAND, (*za Lurwellem.*)

OY braciszku postąpię ja z tobą po  
ministrałowsku. Hey Ryszardzie!

FERDYNAND. RYSZARD.

A co już pošli mój Oycze?

FERDYNAND.

Już się nie masz czego obawiać. Przyjdź  
tutaj do mnie, i przynieś mi moją  
rusznicę. (*Ryszard odchodzi... tu znawu  
grzmi i pierun uderza.*) Oy mój Pan in-  
nak, już tam na pół umarł zapewne...  
Mój Boże! iak to ludziom w rokoszach  
żyjącym śmierć okropną zdaje się rze-  
cza, a my biedni, o iak często życzymy  
iemy sobie!

RYSZARD, (*niosąc karabin.*)

Oto macie. Oycze wasz ulubiony  
szturmaczek. (*spozstrzega pałasz na zie-  
mi.*) Ale cóż to znaczy ten pałasz?

FER.

## F E R D Y N A N D.

Jest to mój Synu zdobycz, którą zyskałem i wojny nawet nie tocząc. Podnieś go i zanieś do domu. Jutro gdy przed Królem skarżyć się będziemy, to żelazo pokażemy za dowód wyrządzonego nam gwałtu.

R Y S Z A R D (*podnosi pałask.*)

Ale mój Oycze, wy nas chcecie porzucić samych, a gdyby się tu znowu powrócił ten Milord?

## F E R D Y N A N D.

O nie uczyni tego, bądź pewny. Te tcho. rze obydwaj Pan i Sługa, tak się bardzo grzmotów obawiali, że iak było uciekali, i zapewne nie oprą się aż w domu. Do tego noc się już zbliża. Nim się jednak dzień zmierzchnie jeszcze, iedź ty śpieszno wózkem do Mansfield i przywieź z sobą Roberta. On iako Ojciec nayszybsze ma prawo do córki i pod jego okiem Betsy bezpieczną już będzie.

D



(*tu znowu grzmi.*) Ta burza dzisiejsza jest dla nas wcale pomyslną, bo iak się deszcz przez noc wypada, iutro słoneczny ranek będzie na łowy. Ja poydę tym czasem do kniei. Zwierzęta teraz chroniąc się przez słońca, idą prosto do swoje legowiska, muszę ie wytropić, iutro prosto Króla poprowadzę na nie.

R Y S Z A R D.

Nie bawiąc więc dłużej, idę po Roberta mój Oycze, a Betsy tu przy matce zostawię. (*odchodzi.*)

F E R D Y N A N D.

Powiedź iey niech się nieboi niczego, po północy i ia powroczę do nich — Na, pozbywszy się z głowy wiekikh Panów, idźmy teraz z dzikami się potykać. Oy często się trafia, że ostatni mniey są okrutni iak pierwsi. (*odchodzi.*)

K O N I E C   A K T U   I.

Orkiestra gra Symfonię, w której słychać grzmoty i nawałnice.

---

## A K T II

---

*Burza ustała ku końcowi Symfonii, słychać tylko czasem zdaleka grzmoty i deszcz. Noc bardzo ciemna.*

---

### S C E N A I.

*Teatr reprezentuje inną część lasu bardzo zarostego. Na boku widać pień ściętego drzewa wypalony we środku.*

### TRZECH MILORDOW.

*(Którzy błądzą szukając drogi do lasie.)*

#### PIERWSZY MILORD.

Jeszcze też przez życie moie w tak czarnej niebładziłem nocy. Zdale się że ten las niema ni początku, ni końca.

#### DRUGI MILORD.

To prawda że koniec nie tak prędko podobno znajdziemy, ale co początek

bardzòśmy łatwo znaleźli wieźdzałac  
wczoray do niego.

TRZECI MILORD.

Niech tam wszyscy diabli porwą wasze polowanie i wasze ielenie. Wolałbym ia był w Londynie na oswoioną iaką polować sarnę. Spałbym noc całą na miętkiej pościeli, a tu przemokłem do nitki. Ale mniejsza o mnie, to gorzey gdzie się podział nasz dobry Kròl w tey strasliwey burzy?

DRUGI MILORD.

Ja niewiem w którą stronę Kròl się obrócił i czy sam został, czy tam ma kogo przy sobie, ale co my, nierozłączaymy się proszę, i idźmy zawsze razem dla bezpieczeństwa.

PIERWSZY MILORD.

Oy tak, czynmy iak prawdziwi Dworacy, myślmymy pierwey o sobie, mniej dbając w co się Pan obroci.

## TRZECI MILORD.

Ale bo po còż ukatą tak daleko w las się zapędzał? więcej dwie mile biegliśmy za tym przeklętym ieleniem, już i psy nawet zgubiły były trop jego, a Król i jeszcze, i jeszcze. Koniecznie chciał go sam zabić, i nieczekaiać nawet aż mu go napędzą, sam pobiegł przeymować go w gęstwinie.

## DRUGI MILORD.

Przyznać iednak potrzeba, żeśmy Króla sami poduszczali do tego, upewniając go, że ieleń jest przetudowney piękności, a chociaż go podobno żaden z nas niewidział. Henryk lubi niezmiernie tego zwierza i tak się zapalił do niego, że kto wie jeżeli tey strasliwej niewytrzymał nawalnicy, a może i dotąd błądzi po lesie.

## PIERWSZY MILORD.

Otóż znowu naganiając Króla, i w tym postępujemy sobie jak Ministrowie



nasz, którzy wszystkie dobre okoliczności przypisują swemu rozumowi, a nieszczęśliwe dla kraju przypadki, na samych Królów zwałają.

DRUGI MILORD.

Ey daymy pokòy teraz i Królowi i iego ministrom, oni się zawsze ze wszystkiego wykręca, ale my niewiem czy się z tej gestwiny dziś wydrapiemy. Wiecie co, trzebaby nam choć raz wystrzelić z fuzyi, może na ten odgłos odezwie się kto albo przyidze po nas.

PIERWSZY MILORD.

Ja wszystkie już naboie po wystrzelałam.

DRUGI MILORD.

Otoż ja wystrzełam, bo mam jeszcze nabitą fuzyą. (*wystrzela z fuzyi, a po nieiakiem pauzie.*) Nie, nic nieślychać, nikt się nieodzywa.

TRZECI MILORD.

Niema innego sposobu, tylko cierpli-

wie czekać ranney intrzenki. (*postępując daley,*) Zdale mi się żem nama a! iakieś wielkie drzewo, stańmy tu pod nim, może nas zastłonić od deszczu.

PIERWSZY MIŁORD

Uśiądźmy raczey, bo iuż stać dłużey niemogę na nogach. (*siadają.*)

DRUGI MIŁORD.

Ah! co to jednak za fatalna rzecz znaydować się w tak grubey ciemności!

PIERWSZY MIŁORD.

Bez wątplenia, a przeciesz to jest rzecz tak powszechna na świecie, żeśmy się iuż dawno do niey przyzwyczać byli powinni. Jestże bowiem choć jeden dzień w życiu naszym, żebyśmy w takich niebłądzili ciemnościach? -- Okrywaia nas nlemi filuci przez swoje wybiegi, głupcy przez ich niewiadomość, fanatycy przez ich tajemnice, Patronowie przez ich potwarze, ludzie dworscy przez swoje intrygi, a kobiety przez ich oświadcze-

nia fałszywe. Ten rozum nawet, z którego się tak bardzo chęlnie, nic więcej nie jest, tylko bladym promyczkiem, który ledwo nas tyle oświeca że przecież nosem nienderzamy o ścianę, ale do wybrnięcia z gęstej pomroki, w której nas błąd i niewiedomość trzyma, ten rozum, ani nam tyle pomodź nie może, co by nam pomogła teraz do wyjścia z tych lasów, jedna maleńka gwiazdeczka na niebie.

TRZECI MILORD.

Ale mój Milordzie nie jest to teraz czas morały prawić, i mimo ślicznego twoiego rozumowania, ja wolalbym przecież choć jedną gwiazdeczkę na niebie, niżeli tę ciemność, w której jesteśmy... Ale czy mi się zdaje... czy kogoś słyszę idącego.

DRUGI MILORD.

Ktoś się tutaj drapie przez krzak.  
(Słuchają.)

## S C E N A II.

CIŻ SAMI I DWOH GAIOWYCH.

I. GAIOWY.

O! Toż to właśnie w tym miejscu słychać było strzelanie.

II. GAIOWY.

I mnie się tak zdaie. Ale to niepodobna mój bracie, żeby w tak ciemnych mógł kto strzelać zwierzynę.

I. GAIOWY.

A w którą stronę dzisiał uciekły sarny?

II. GAIOWY.

Jelenie poszły na południe, i opowiadano, że Król udał się za nimi, a sarny wszystkie w tę tu krzewinę pierzchnęły.

I. GAIOWY.

Otoż to ani chybi Panowie strzelcy wyspiegowali ie tutaj, i na kento Kró-



lewkie chcą sobie kilkoro rogaczów u-  
bić, a jutro na rynku je przedadzą. O  
wolę ja sam w pędzić którego do sieci,  
i przepić go za zdrowie Królewkie.

## II. G A I O W Y.

Ale w takiej ciemności, czy można  
nawet zobaczyć by zwierza?

## I. G A I O W Y.

A krzesiwko od czego? Alboż to oni  
nie umieją napalić ognia, który im zda-  
leka wszystko oświeca? — Idźmy ieno  
daley. (*postępują trochę.*)

## II. G A I O W Y.

Słuchayno bracie, jeżeli ich czasem  
będzie kilkunastu, a nas tylko dwóch,  
to nas poduszają.

## I. G A I O W Y.

O jakżeś thorz! Złodziey nigdy nie  
ma śmiałości. Gdyby ich i dzieśnięciu  
było, wszystkich połapiemy. . . Ale cicho  
. . . słyszę kogoś. . . tutaj się rusza.

## DRUGI MILORD.

Wyraźnie słysze, że ludzie łacyś gadają. Na honor, hać się zaczynam. Jeżeli to są łacy zbóycy leśni, to nas do nitki obedrą, bo nawet żaden z nas nie ma czym strzelić.

## TRZECI MILORD.

Gdyby nam zabrali to co mamy, śliczniebyśmy zarobili na polowaniu.

*Wchodzi M. G A I O W Y.*

Słyszysz? (*skradają się zwolna.*)

## DRUGI MILORD.

Wstańmy lepiej i przejdźmy po cichu na drugą stronę. (*wstają, a gdy postąpią kilka kroków, wpadają między nich Gaiowi, i chwytają ich za szyję.*)

## I. G A I O W Y.

Aha!... a tuscie złodziele. Nauczcie was polować po nocy.

## II. G A I O W Y.

Oddajcie co macie drapichròsty, bo was do nitki obedrzemy.

## TRZECI MIŁORD.

Ah! mol Panowie z całego serca oddamy wam wszystko co mamy przy sobie, tylko niechcieycie z nami grubiańsko postępować.

## I. G A L O W Y.

O tak, grzecznie z wami postępować należy, właśnieście nato zasłużyli obieście.

## II. G A L O W Y.

Próżne te perory bultaykie duszę oddaycie zaraz co macie.

## TRZECI MIŁORD.

Ja niemam więcej tylko 3. luidory przy sobie.

## DRUGI MIŁORD.

Ja mam 5. gwineidów i zegarek złoty, proszę to przyjąć.

## PIERWSZY MIŁORD.

Ja nic wcale niemam prócz tabakierki kościanej, weście ją a pucie nas.

## I. G A I O W Y.

A cóżto u kroćset diabłów ma zna-  
czyć! Te niecnoty rozumieją podobno,  
że my się damy przekupić. Nie zło-  
dziele, nie. Jutro rano musicie stanąć  
przed sądem w Londynie.

## PIERWSZY MILORD.

My przed sądem? za to, że nas w  
lesie obdarto?

## II. G A I O W Y.

Jakto obdarto?

## DRUGI MILORD.

Alboż nas W Panowie niechcecie o-  
bedrzeć?

## I. G A I O W Y.

Otoż, widzisz bracie, co to za bestye  
bezczelne, oni jutro gotowi przyśiądź,  
żeśmy ich chcieli obedrzeć.

## TRZECI MILORD.

Zapewne, że przyśiężemy, a to spra-  
wiedliwie.



Nie, złodzieie, nie waszych worków  
my chcemy od was, oddajcie nam tyl  
zwierzynę Królewską, którąście ukradli.

PIERWSZY MIŁORD.

A niech ją tam kaci porwą swoją  
zwierzynę. Geniliśmy ją przez dzień  
cały, aleśmy i zająca nawet nie ubili.

II. G A I O W Y.

Dosyć że już tych drwinków Panowie  
czuście. Alboż my to nie wiemy, żeście  
tu umyślnie czatowali na sarny? Czy  
nie słyszeliśmy, iakęście niedawno strze-  
lali? Czy nie mowiliście sami po-  
cichu do siebie: że gdyby wam zabrano  
to co macie, ślicznie byście wskurali na  
polowaniu? A co nie prawda?

DRUGI MIŁORD.

My to mówiliśmy o naszych pienią-  
dzech.

## I. G A I O W Y.

Próżne wykrety. Pewno wścieć będziecie, dać wam moje słowo na to. Daley bracia, prowadźmy ich najprzód do siebie, a jutro oddamy ich do Kęła Szażnika. Wieczorem zawiozą ich wdybach do Londynu, we czwartek po południu stawia ich przed sądem, a w piątek rano, daley na szubienicę.

## PIERWSZY MILORD.

Idźlemy bracia. Niema czasu z niemi dysputować, na miejscu przyzwoitym oczyścimy się z tego; a tym czasem dobrze, że nas wyprowadzą z tej pułki. Idźmy tedy moi Panowie.

## I. G A I O W Y.

Trzymajże ich dobrze za szyję, żebyś który halsztuka w rękę nie zostawił, a sam nie uciekł. Daley; daley do klatki panowie ptaszki. (wychodzą.)

## S C E N A III.

HENRYK *sam, (wychodzi z przeciwnej strony szukając przejścia w gęstwinie.)*

Nie... To niepodobna, ażeby to miał być publiczny gościeniec. Zgubiłem drogę zabłąkałem się zupełnie... Nie wiem w którą stronę się obrócić... dokąd się udać.. (*stawa pod drzewem.*)  
 Moy Boże! człowiek zostawiony sobie samemu, o jak że jest słabym stworzeniem!.. Na cóż mi się teraz przydać może Królewska moja dostojność? Noc żadnego niema względu dla mnie. Nie mogę ani łatwiej widzieć w tej ciemności, ani śmieley postępować jak naylichszy z moich poddanych... Co to jest Król?... O jak wiele razy siedząc na moim Tronie, słyzałem w około mnie powtarzających podchlebców; Król nasz „ jest mądry, jest potężny, jest wielki! „ -- Ależ ten Król obłąkany w nocy w śród lasów choćby miał naywiększy rozum, rozoznać przecież niepotrafi gdzie jest

połnoc, a gdzie południe? Potęga jego  
 niewstrzymuje deszczu, ni grzmotów,  
 wielkość jego niczym jest w porównaniu  
 jednej pioronowej iskierki,, a zatym  
 jest człowiekiem równie jak inni! Z tym  
 wszystkim o jak często wynosimy się z  
 tych nie naszych wielkości. — Moim  
 zdaniem: Król jest mądrym, przez mą-  
 dre ustawy, jest potężnym w potęgę  
 Narodu, jest wielkim tylko przez wiel-  
 kie cnoty! — (*otrzepując płaszczy.*) Prze-  
 mokłem w kros, i pierwszy raz w życiu  
 doznałem strachu, niewygody i utrudze-  
 nia... Jednakże cieszy mnie to po czę-  
 ści, bo gubiąc Króla, znalazłem czło-  
 wieka w sobie. (*tu słysząc strzelenie.*)  
 Cóż to jest? czy nie zbrojcy zgaydują się  
 tutaj? cóż mam począć? Moja Króle-  
 wska Moc zapewne by mnie nie obro-  
 niła od nich — Odłożmy więc dostojność  
 na stronę i schowajmy się pod drzewo  
 jak człowiek. (*chowa się za drzewo  
 przy którym stoi.*)



---

 SCENA VI.

 HENRYK *w ukryciu* i FERDYNAND,

*(z fuzyją i torbą myśliwską.)*

 FERDYNAND, *(mówiąc z za Kulisy.)*

W Idziesz go, co za zu hwała bestya; ten pan niedźwiadek? chciał sobie ze mnie bankieciik wyprawic; ale poczęstowałem-ia go tam podobno, bo zemknął zaraz, tylko sobie coś pomrukiwał pod nosem — Jeden raz w życiu moim trafiło mi się stać na szyldwachu przy drzwiach sali Akademii naszej w Londynie, słyszałem iak kilkudziesiąt mędrców w czarnych płaszczach i wielkich perukach, utrzymywali w publiczney dyspucie: że człowiek jest Panem i Królem wszystkich zwierząt na świecie: Ja to samo już nie sto razy chciałem wyperswadować niedźwiedziom i wilkom, kiedy mnie czasem obskoczą, ale te głupie bestye niechcą temu wie-

rzyc. Oy żebym ja mógł choć raz wpu-  
ścić do sali Akademickiej ze czterech  
przynajmniey niedzwłatków, obaczył-  
bym, ktoby się też przy swoim zdaniu  
utrzymał, czy moje zwierzęta kosmate,  
czyli tamte w dużych perukach.  
Nawet te bestye nie mają względu?  
na mój Medalik, a on może kiedy  
Króla nawet samego oczy ściągnąłby na  
mnie, i spodziewam się że widząc moje  
wyciągaiącego rękę pod murem, ka-  
załby mi dać przynajmniey choć tuzin  
Gwineów; . . . a iego kamerdynery dały-  
by mi z tego tuzin szelingów.

H E N R Y K, (*na stronie.*)

Nie, to nie jest zboyca iak widzę.  
Musz to być jeden z strażników le-  
śnych. Słuchaymy daley. Dowiem się  
może różnych nowości, o którychbym  
w Pałacu moim nigdy nie słyszał.

F E R D Y N A N D.

Ale przypomniałszy sobie o Królu,  
już mam dla niego upatrzonych sześciu  
wilków białych, dwa niedźwiedzie sre-

brnego włosa, i ślicznego ielenia z takimi rogami, jakich jeszcze żaden mąż nie miał we trzy miesiące po ślubie.

HENRYK, (*na stronie.*)

To jakiś osotliwszy człowiek!

FERDYNAND,

Teraz trzeba mi jeszcze z półgodziny tutaj się zatrzymać. Sarny najczęściej około północy zbiegają się w te stony. Jeżeli je wytropię, jutro rano najprzód damy dworskie poprowadzę na nie, bo nasze damy bardzo lubią polowanie na sarny, i chociaż płaczą często widząc pobite te niewinne zwierzęta, jednakże same strzelają do nich. Ale co ten deszczyk zakaty ochłodził powietrze, dreszcz jakiś pomnie przechodzi, moje rany zaczynają wilgoć uczuwać. Muszę sobie trochę ognia zapalić. ... Gdybym tylko mógł znaleźć moje ognisko, które sobie zawsze w jednym pniaku zakładam. .. Ale zda mi się, że muszę być niedaleko od niego.)

*Maca w około siebie i natrafia na wielkie drzewo.)* Aha, to mój stary dąb, na który zawsze przed dzikami reytuję się z honorem . . . . tu po lewey stronie stoi mój pniak. *(maca i znajduje go.)* A! otoż jest. *(kładzie rękę do środka)* Jeszcze widzę popiół nieostygły od wczoraj. Zapalmy chupkę, są tu drzewa, będzie i ogień w momencie. *(krzesze ogień zapala tuczywo, kładzie drewka, ogień się pali.)* Otóż to mój zwyczajny kominek, wymieniony jest nigdy niedymi, a choćem i Architekta nieużywał do niego *(patrząc na ręce.)* Tam do licha, uczerniłem ci sobie ręce jak ów stary lichwiarz, który liczy swoje złoto na 50. od sta procentu.. Zapalmy lulkę, bo to wzrok przeczystość i myśl weselszą sprawuje — *(siada i pali lulkę.)* Nic mnie tak nie bawi, jak ten dym, który z mojej lulki wychodzi. . . Uważam sobie jak on to najprzód gęsto paruje od dołu, daley przerzadza się w powietrzu, a nareszcie niknie w obłokach. Żywy obraz ludzkich nadziei na świe-



cie! .. W młodości układamy sobie wielkie projekta, spodziewamy się wielkich honorów, wielkich dostatków; ... gdy to nas minie, w dojrzałym wieku radziłyśmy już i na pomierności przeżłali kawałek chleba spokojny, maleńki domek byłby dla nas szczęściem zupełnym ... ale i to nas równie jak pierwsze omiia ... . Nakoniec przychodzi starość, a z nią choroby i niedostatki, umieramy w nędzy, i nikniemy jak dymek w powietrzu! — (wstać.) Otoż ta właśnie historia mojego życia. — Lat 20 służyłem w wojsku, w trzech kampaniach popisałem się z honorem, ażardowałem życie, chcąc albo zginąć albo się czegoś dosłużyć, nie, ani tego, ani owego. W pierwszej kompanii Kapitan kommanderujący nas uciekł ze strachu, ja krzyknąłem na kamratów, uderzyliśmy plutonem w skrzydło nieprzyjaciół, pomieszczyliśmy linię, wpadła kawaleria, wygraliśmy batalię. Mój kapitan, który się schował, został za to

pułkownikiem do razu, a mnie zrobiono kapralem. — W drugiey potyczce odebrałem baterią, i chociaż okryty ranami, nieustąpiłem z wału, poki nasi nie wyparowali Francuzow, i za to zostałem Sierżantem. — Wostat nim nakoniec attaku, pierwszy wdrapałem się na mury. Pomieszany nieprzyjaciel uciekł od armat, kamraci widząc mnie na murze, rzucili się do drabin, wpadli hurmem, odebrano fortece która decydowała loscały wojny! — Nasz General, który o pół mili patrzył na nas przez perspektywę, został za to Milordem, dostał Order i 50,000. Lnidorow roczney intraty, a mnie przypięto medalik. — W pół roku potym skończyła się wojna, zwinięto woysko, rozpuszczono moy Regiment, i ja z medalem zostałem na bruku bez chleba. A tak kiedy moy General opływając w honory i bogactwa, trawi życie rokoszne w kompanii najwyższych osób, ja który pierwszą szczęścia jego byłem przyczyną, żyję z nie-

dzwiedziami w kompanii, i ledwie mam  
kawałek suchego chleba. — O dziwa-  
czne losow zrzadzenia!

H E N R Y K, ( *na stronie .* )

Co siysz? ktory sie spodziewal, aby  
w tych lasach znaydowal sie czlowiek  
tak zasluzony? Ani wzmianki po ofta-  
tniey wojnie nie czyniono mi o nim. —  
O iat rzadko istotna prawda do Tronu  
Monarchow dochodzi!

F E R D Y N A N D.

Ile razy tylko rozpamietywam sobie  
zycia moiego przypadki, przychodzi mi  
zawsze na mysl pewna piosneczka, ktorey  
jeszcze od mego Bakalarza nauczylem  
sie w szkolach. — Byl to czlowiek  
bardzo uczony, ale go wypedzono z A-  
kademii za to, ze sie wazyl miec wie-  
cej rozumu od swego Rektora. Roz-  
gniewany na swiat, osiadl w miasteczku  
i dzieci tylko obecadla uczyl. Czes-  
to sobie spiewywal wieczorem, siedzac  
na kamieniu pod lipa. Nigdy tey noty  
zapomniec ni moze, choc iuz temu lat

30. zgóra minęło. Muszę ją sobie za-  
 śpiewać. (*śpiewa.*)

**P I O S N E C Z K A.**

Kto rząda szczęścia od świata,  
 Niech się do świata sto ule,  
 Niech się przemysłem kieruje,  
 Niech nie ma względu na brata;  
 Bo tam gdzie cenią pozory,  
 Tam szczerłość nie wiele nada.  
 Intrzyga idzie do góry,  
 A zasługa upada.

---

Ani cię rozum zaleci,  
 Ani cię cnoty wzbogaca,  
 Kto niema pierza nie wzleci,  
 Gdyś goly, zawsześ ladaco.  
 Ten błyszczący, ten ma honory,  
 Kto liczne złoto posiada.  
 Intrzyga idzie do góry,  
 A zasługa upada!

---

Gdy nie masz z bogactw zalewy,  
 Płaszcz się przed Panem bogatym,  
 Lub szukay ładney kobiety,  
 Dzis całe szczęście jest na tym.



W Świątynie, w miastu, na dwory  
Wszędzie niesłuszność się wkrada.

Intryga idzie do góry,  
A zasługa upada!

Oy prawdę mówił mój Bakalarz,  
Świat rzadko kiedy sprawiedliwy bywa.  
( *spozostzegając Króla za drzewem.* )  
Ale cóż to czy, mi się zdaje, czyli się tam  
ktoś rusza za drzewem? ... Ani chybi  
strzelec iaki z miasta zaczął się tu na  
sarny. Idąc tutaj slyszalem strzelenie,  
pewniuteńko ubił już którą. ( *wyymu-  
je pistolet z tasaka i naciągnąwszy kurek  
przybliża się do drzewa.* ) Kto tu jest!  
Odzyway się zaraz. Czego się tu skra-  
dasz niecznoto?

H E N R Y K, ( *wychodząc.* )

Przytaciálu, nie jestem zły człowiek.

F E R D Y N A N D.

Zapewneś nic lepszego hultału, a kto  
tutaj strzelił niedawno?

H E N R Y K.

To nie ja, na honor przyrzekam.

F E R D Y N A N D.

Na twój honor dayże go katu! Kłamiesz filucie, i jeszcze ci raz pawiadam że kłamiesz.

H E N R Y K.

Ja kłamię? ja zaś mam kłamać? (*na stronie.*) O jak mi się dziwno zdaie słyszeć podobne wyrazy! (*głośno.*) Nie kłamię wcale Mospanie. Daię ci na to słowo moje.

F E R D Y N A N D.

Jarównie nie wierzę twoiemu słowu, jak i honorowi twoiemu. Daley przyznaymi się zaraz, czy zabiłeś którą sarnę Królewską?

H E N R Y K.

Nie zabiłem żadney. Nadto wiele mam uszanowania dla Jego Królewskiej Mości, abym śmiał się na to odważać. Słyszałem i ja niedawno to samo strze-

lenie, a obawiając się aby to nie byli  
zbojcy iakowi, skryłem się między te  
pnaki.

F E R D Y N A N D.

Nie bardzo mi się coś chce wierzyć  
Waciney mowie. Ale powiedzno mi kto  
jesteś, i iak się nazywasz?

H E N R Y K.

Jak się nazywam?

F E R D Y N A N D.

Tak jest. Przecież musisz mieć iako-  
we nazwisko. Jakże czy się iłak nie-  
nazywasz? ... Zkąd tedy idziesz? co  
tutaj robisz?

H E N R Y K.

Prawdziwie mój Panie, do podobnych  
pytań nie jestem wcale przyzwyczajony.

F E R D Y N A N D.

Bydź może, ale to są pytania, na któ-  
re poczciwy człowiek nie lęka się nigdy  
odpowiadać. A zatym ponieważ nic le-  
pszego na twoją obronę powiedzieć mi

77

nie możesz, proszę Waszmości z sobą  
Za pozwoleniem iego, wsadzę Wasz-  
mość do turmy, aż do jutrzejszego po-  
ranku.

H E N R Y K.

Mnie do turmy? jakimże to prawem  
Moi panie?

F E R D Y N A N D,

Prawem nadanym mi od samego Kró-  
la, kiedy ci mam mówić wyraźnie. Je-  
stem Ferdynand Kozł, Strażnik lasów  
tutejszych, i mam rozkaz aresztować  
wszystkich włóczęgów, którzy kradną  
zwierzyne Królewską.

H E N R Y K, ( *na stronę.* )

Nie masz sposobu, muszę się poddać  
jak widzę pod własne moje rozkazy.  
( *głośno.* ) Bardzo mnie to cieszy Mo-  
spanie Strażniku, że Król ma tak wier-  
nego Oficjalisę w osobie W Pana, a  
ponieważ wiem teraz że masz od niego  
powierzoną sobie władzę w tych miej-  
scach, chcę się W Panu dać lepiej po-  
znać, jeżeli będziesz raczył posłuchać  
nie cierpliwie.



F E R D Y N A N D

Zdaie mi się coś, żeś nie bardzo wart tego. ... ale no, słucham co mi powiesz na twoją obronę?

H E N R Y K.

Powiem mu tedy, że i ja także należę do Króla i równie jak W Pan niecierpiałbym, gdyby mu jakąś szkodę wyrządzano. Przyjechałem tu z nim razem na polowanie, ale zapędziwszy się głęboko w puszcza za jednym jeleniem, dla zaszłej nocy i burzy strasliwej zbłądziłem z drogi, i sam niewiem jak się w tę gęstwinę dostałem.

F E R D Y N A N D.

Oy! coś to fałszywie brzmi mój bratczku. Jeżeliś z Królem przyjechał, a gdzie jest twój koń?

H E N R Y K.

Zostawiłem go z moim Małtalerzem, a sam piechotą zabiegałem jeleniom.

FERDYNAND, (*na stronie.*)

Bydźby to mogło. Właśnie też Król  
nad wieczorem niedaleko stąd celował

HENRYK.

Wierz mi mój przyjacielu, że nie u-  
miem kłamać.

FERDYNAND.

Jak to? W Pandworiak, a nie umiał-  
byś kłamać? A żartny zdrów mój Do-  
brodzieciu!

HENRYK.

Mów sobie wreszcie, co ci się podoba.  
W kłótcie się przekonasz że jestem po-  
czciwy człowiek, i na dowód tego, gdy-  
byś mnie chciał przeprowadzić do Man-  
sfield, albo pozwolił mi przenocować w  
tym domu, ofiaruję ci tym czasem tę  
bagatelę. (*dać mu worek.*) a jutro dale-  
ko większą odbierzesz nadgodę.

FERDYNAND.

O to, to, to, teraz dopiero przekona-  
łeś mnie W-Pan, że jesteś człowiekiem

od Dworu. „ Na dziś tym czasem  
 „ mała bagatela, a na jutro wielka o-  
 bięta, „ a to wszystko nie zająknąwszy  
 się nawet — Schowaj mój Panie twój  
 worek. Ferdynand Kokl nie umie żyć  
 po waszemu, i nie trzeba go przekupo-  
 wać, ażeby dopełniał swoją powinność.

H E N R Y K.

Prawdziwie ty jesteś człowiek wcale  
 osobliwszy. Cieszyłbym się bardzo gdy-  
 bym mógł ściślejszą mieć znajomość z  
 tobą.

F E R D Y N A N D.

Ty jesteś... z tobą... ah jak ja tego  
 tykania cierpieć nie mogę. Zdale mi się  
 mój Panie niepodhlebiałac sobie, że m-  
 wart Waszmości.

H E N R Y K, (z uśmiechem)

Oh wybacz W Pan, przepraszam.

F E R D Y N A N D.

Na, mniejsza oto, ja się nie gniewam  
 mój Panie, tylko że nie lubię być z ni-

kim

kim w poufalości, poki nie doświad-  
czę czy tego godzien albo nie.

H E N R Y K.

Rostropnie W Pan czynisz. Ale po-  
wiedźże mi proszę, iak się mam teraz  
obrocic?

F E R D Y N A N D.

Wolno W Panu otrac co mu się spo-  
doba. Znaydulesz się teraz o półtrzeci  
mili od Mansfield, i masz ieszcze do  
przebycia bardzo gęste bory. Jezeli ie-  
dnak chcesz tam byc koniecznie ie-  
szcze tey nocy, wyprowadzę W Pana na  
drogę, i rozpowiem mu gościeniec iak  
bedzie można naylepiey. Gdybyś zaś  
wolał przyiac cieniutką wleczera,  
iaką ubogi Strażnik dac może i łozko  
dosyc twarde w chałupie, proszę Jego-  
mości, będę mu rad z całego serca, a ju-  
tro rano każę W Pana odwiesc do  
miała.

H E N R Y K.

Ale nie mogłbyś mnie sam teraz za-  
prowadzić do Mansfield.

F



F E R D Y N A N D.

O co tego, to nie uczynię, choćby  
W Pana był i Królem nawet.

H E N R Y K.

A kiedy tak, to już wolę przenocować  
w domu W Pana.

F E R D Y N A N D.

Bardzo dobrze. Poydziemy tedy, ale  
wprzód muszę przysypać moy ogień, to  
się jutro łatwiej rozżarzy kiedy będą  
gorące węgle. (*gasi ogień.*) Na, teraz  
poprowadzę W Pana z sobą.

H E N R Y K.

Moy przyjacielu, bądź pewien'za to  
wdzięczności odemnie.

F E R D Y N A N D

Tylko bardzo proszę nie mi nie obiecywać; bo zaraz się gniewać zaczynam.  
Przypominam sobie bowiem mego Generała, który nam przed potyczką złote góry zawsze obiecywał, a po batalii

nie spytał się nawet, czy żyjemy na świecie. Day W Pań ręce, nie obawiaj się niczego, bo ja tu znam wszystkie drożyny. ( *Odszedł.* )

## SCENA V.

( *Teatr się odmierza i reprezentuje chałupę Koła. W środku drzwi, na boku szafa i kilka stołków drewnianych. Na stole widać palącą się lampę blaszaną.* )

ROBERT, BEŁSY, MALGORZATA, RYSZARD.

Robert siedzi oparty na stole. Małgorzata przędzie na kółku rotku, Bełsy skubie iey len i często wtiera zapłakane oczy. Ryszard zabawny jest chędożeniem Karabinków Oycowskich.

MALGORZATA.

**N**aż, dosyć że już tych szlochów;... i beczą, i beczą, jak gdyby to co osobliwszego było, że się młoda dziewczyna uwieść pozwoliła. Wszakci to, ( Boże odpuść ) niewiem jeżeli leś ieden dom w Londynie, żeby się w nim

podobna nie zdarzyła awantura, a przed  
cie nikt nieumiera z żalu i wszyscy  
zdrowi. Póki człowiek młody, czuje w  
sobie krew. Ja sama iak miałam lat  
18. 20. to m ledwo ze skóry niewyskoczy-  
ła, widząc iakiego łaiwego panicza. Już  
to tak iakoś powszechnie się dzieie, że  
człeku chce się tym byđź, czym nie iest i  
nasze dziewczęta woła zawsze wiel-  
kich Panow kochać niżli równych sobie  
parobków.

B E T S Y.

Oh przeżłacie już o tym mōwić. Nie-  
rozdzieraycie bardziey serca Oycu me-  
lemu.

M A Ł G O R Z A W A.

Ey! bo i czegoż niepotrzebnie wszyscy  
szlochacie, stało się. Chociaż się tro-  
chę poszkapała, aleś się też i pomiar-  
kowała, to dosyć natym. A gdzież  
iost człowiek, któryby choć raz w ży-  
ciu swoim nie upadł? Oy pamiętam ia  
dobrze moje młode lata ( *rzuci kędziol  
i idzie do Roberta.* ) Na, Tatulu bądźcie

dobray myśli, inużeście darowali Córce  
prsewinienie, niedręczysz iey dłużej  
tym smutkiem waszym.

R O B E R T.

Wybaczelem iey niedoświadczeniu,  
serce Radzicielskie nie czuie już za-  
dneć do niey urazy, ale mnie dręczy nie-  
znośnie niegodziwy podstęp zdrajcy te-  
go, który ją uwiodł. O Bóże! czemuś  
to równym nam w istocie ludziom, wola-  
no ma byż udręczać nas i hańbić bez-  
karnie dla tego, że są bogaci! Nie, nie  
umrę spokojnie leżeli sprawiedliwie  
ukaranym niebędzie.

R Y S Z A R D.

Bądźcie tego pewni kochany Rober-  
cie. Mój Ojciec, przedsięwziął, intro  
samemu Królowi wszystko opowiedzieć,  
a ten dobry Monarcha nie puści zape-  
wne bezkarnie tak czarnego postępku.



Oycze moy! jeżeli zemsty koniecznie  
pragałecie do uspokojenia serca wasze-  
go, tedy ja sama chociaż hańbą okryta,  
choć dla wstydu aleśmielacz oczu pod-  
nieść na ludzi, upadnę Królowi do nóg,  
i poty ich się niepuszczę, aż wyblagam  
zemstę na zdraycę, i nadgrode wszystkie  
szkod waszych.

MAŁGORZATA.

A ja zaś mówię siedźcie lepiej cicho,  
i poskniycie pigułkę w milczeniu. Ro-  
zumiecie, że to u Panów wiele znaczą  
podobne występy? Oj oni to sobie za  
igraszkę mają. Obaczycie że to wszy-  
stko w śmiech tylko obrocą, nażartują  
się z was do woli, i odprawią was z nie-  
czym.

ROBERT.

Ktokolwiek w żart obraca krzywdę  
uczynioną ludzkości, nie wart jest nie  
tylko zaszczytów wielkiego Pana, (ale  
nawet imienia człowieka.

M A Ł G O R Z A T A.

No, no, wspomnicie jutro moje słowa.

*Tu słychać że woła za drzwiami.*

F E R D Y N A N D.

Małgorzato! Małgorzato! Otworz ieno i day namłtu światła.

M A Ł G O R Z A T A.

Ah to moy mąż! Zaraz, zaraz. Ryszardzie poświeć tam Oycu. (*Ryszard zapala świecę.*)

F E R D Y N A N D, *za drzwiami.*

A pędzey ieno, bo ci prowadzę zwierzynę, iakiey nigdy ieszcze w domu naszym niebyło; człowieka dworskiego. Małgorzato!

M A Ł G O R Z A T A, (*z radością.*)

O tym lepiej, tym lepiej, ia zawsze bardzo lubię tych ludzi dworskich.

R Y S Z A R D, (*wychodzi ze swiecą.*)

B E T S Y, (*mocno pomieszana.*)

Ah! Oycze moy pozwól niech się skryję przed okiem tego przychodnia, może, to bydz który z naiomych mi dworzanów, nie chce aby mnie widział, aby się naigrawał z poniżenia moiego.

M A L G O R Z A T A.

Wstydziś się moja rybko tej kiecki, dy wierzę temu! Schowayże się do komory, a ja! cię potym wypuszczę tylnymi drzwiami, poydziesz sobie spać na poddasze, ieżeli tu ten Jegomość zechce nocować.

R O B E R T.

Zobaczywszy się z Koklem, i ja tam przyidę do ciebie.

B E T S Y.

Oycze moy, niemartwcie się wlecey. Bóg może sprawiedliwy pomści się krzywdy niewinnych. (*odchodzi.*)

## SCENA VI.

HENRYK, FERDYNAND, ROBERT,  
MARGORZATA, RYSZARD.

MARGORZATA.

**K**ogoż to tam prowadzisz mój mejn?

FERDYNAND.

Mamy tu gościa Margosiu, trzeba mu dać wieszczę i łóżko, bo tu będzie nocował.

MARGORZATA.

Mamy my tu lepszego gościa. Oto Robert przyjechał z Synem naszym.

FERDYNAND.

*(Popycha Henryka od siebie.)*

Co nasz staruszek Robert? A jak się masz mój bracie najmilejszy. *(ścisnąć się)*

ROBERT.

Władome ci są dobrze zgryzoty moje



HENRYK, (do Ferdynanda.)

Zeby trochę mocniej byłbym zapewniony na ziemi.

FERDYNAND.

Oh dokata!.. przepraszam bardzo Jagomości, takem się ucieszył zobaczywszy poczciwego mego przyjaciela, że mi się do szczętu zapomniał. Mospanie, ten oto nieszczęśliwy staruszek już od półroka porzucił swój młyn, przyjaciół i całą chudobę.

HENRYK.

Dla jakiegoż to przyczyny, czy nie możnaby wiedzieć?

ROBERT.

Nie jest teraz czas zatrudniać W Pana opowiadaniem nieszczęśliwości moich. Potrzebujesz wywczasu po utrudzeniu, wypocznij sobie.

FERDYNAND.

Tak, tak, rozgość się W Pan. (zdejmuje mu płaszcz i satasz odwina.) Ługuż

sobie proszę — Nasz Król polował dzisiaj w tym lesie. Jegomość leżał dwa rżnięciem u Króla i przylechał z nim na łowy, ale że się daleko zapędził za jeleniem, noc go zasiała i zabił w gęstwinie.

MAŁGORZATA, *(przypatrując mu się.)*

Nieboraczek!

FERDYNAND.

Gdybym go był szczęściem nie spotkał, możeby mu były wilki skórę poturbowały.

MAŁGORZATA.

Nieboraczek!

FERDYNAND.

No, ieno Margosiu, zakrzatniej się około kuchni, żebyśmy się mieli przecieź czym posilić, bośmy się to przesiłi nieszpetałi. Zabił parę kurczaków i ugotuj nam kopę pierogów.

MAŁGORZATA.

A dla sam Pana zrobię poleweczkę z łalek na mleku, bo to ludzie dworcy lubią delikatne potrawy.

H E N R Y K.

„Dobrze moja Matko, będę wam bardzo wdzięczny za to.

M A Ł G O R Z A T A.

*(odchodzi i wraca się nazad.)*

— Albo też może W Pan lubisz małe drzyki, albo Sielankę ze słodkiej śmietany, bo ja to umiem bardzo smacno robić

H E N R Y K.

Co wam się podoba, wszystko z ochotą przyjmę.

M A Ł G O R Z A T A.

Albo też... czekayno W Pan... coż ja to jeszcze umiałam gotować... *(myśli.)*

F E R D Y N A N D.

Niebayno dłużej moja Małgorzato, i nieprzykrz się Jegomości twoją grzecznością. Idź a gotuj co masz pod ręką.

M A Ł G O R Z A T A.

O mój mężu daycieżmi pokoy, żebym, ja nie, miała włącę polityki iak

WV, toby ten Jegomość mógł rozumieć  
żeśmy bydłeta iakie.

F E R D Y N A N D

Oh ia rozumiem, że człowiek szczery  
wiecey wart, niżeli grzeczny. Idź ieno,  
idź, porzuć tę politykę, a weź się do ku-  
chni.

M A Ł G O R Z A T A.

Idę już, idę, ale przy wieczerzy opo-  
wiem Jegomości całe moje życie. O bo i  
ia także nie ulesie tylko się schowałam.  
Oy byłam i ia po dworach, i wiem do-  
brze co to są wielcy Panowie. (odchodzi.)

F E R D Y N A N D.

A ty Ryszardzie idź przynieś nam  
dzbanek cienkusz, (*Ryszard odchodzi.*)  
bo my tu Mospanie bardzo sławne mamy  
cienkusz, a osobliwie w Mansfield prze-  
dno się ndaia. Mów, prawda trochę mi  
już w beczce nadkwaśniał, ale to nie-  
szkodzi, tym podobniejszy ma smak do  
starego wina. (*zdeymuje z siebie pistolety  
i torbę.*)

## H E N R Y K.

Napile się go z dobrym apetytem bo pragnienie mocno mi dożucza. ( *na stronie.* ) Dzięki niebu, będę miał choć raz w życiu tę rokosz byź traktowanym iak człowiek pospolity, i widzieć ludzką naturę bez żadney pokrywki.

F E R D Y N A N D, ( *do Roberta* )

Przyjacielu usiądźcie tużnami. Jego-  
mość zapewne gniewać się nie będzie,  
że się napilem razem i z iemy wleczczę.

## H E N R Y K.

I owszem proszę, usiądźcie tu przy  
mnie Starużku.

R O B E R T. ( *siada za stołem.* )

Dziękuję wam za tę grzeczność mój  
Panie.

F E R D Y N A N D.

Nie smućcie się przyjacielu. Mam nadzieję, że wasz interes uda mi się in-  
tro wykieować. Ale gdzież się wasza  
córka podziała?



ROBERT.

Już poszła spać, słabej się trochę zrobiła.

RYSZARD, (*przynosząc piwo.*)

Otoż jest Oycze, natoczyłem z pełney baryłki, ale i ten widzę nadzwaiński.

FERDYNAND.

Nic to, wypile on się kiedy jest pragnienie, (*bierze dzbanek.*) Do W Pana Mospanie. Wasze zdrowie Robercie (*pije.*)

HENRYK, (*na stronie.*)

Tz prosiota obowięzująca, jest roskosznią nieznana u Dworów.

FERDYNAND.

Na Mospanie, proszę teraz wypić za nasze zdrowie.

HENRYK, (*bierze dzbanek*)

Z ochotą. Do was Robercie. Wasze zdrowie Panie Strażniku (*pije.*)

FERDYNAND.

Sługa Jegomości.

HENRYK, (*napiwszy się.*)

Proszę przyjąć Panie Robercie.

ROBERT.

Ryszard, do ciebie. W Panów zdrowie.

RYSZARD.

Pijcie moi Oycze, a przestańcie się smuć. Ak!... (*westchnienie mocne.*)

HENRYK.

Mei przyjaciele, uczynicie mi tę grzeczność, a powiedzcie mi co jest przyczyną nieszczęścia tego staruszka. Mimo dobrej ochoty, z jaką staracie się mnie przyjąć, widzę w was pomieszanie i smutek. Ryszard jest podobno waszym synem Panie Strażniku!

FERDYNAND.

Tak jest Mospanie.

HENRYK.

Ten młodzieniec także musi cierpieć dolegliwość jaką. Oczy jego pełne są łez i słyszę go często bolesne wydającego westchnienia.

FER.

## F E R D Y N A N D.

Jakże nie, kiedy ten fatalny przypadek jego naywięcej obchodzi.

## H E N R Y K.

Zwierzcie mi się wszystkiego, a obaczycie, że wam to na dobre wyjść może. Któż to wie, jeżeli ja nie będę w stanie pomóc wam w tym przypadku, który was trapi?

## F E R D Y N A N D.

Mój przyjacielu, nie zaszkodzi posłuchać, co nam Jegomość poradzi. Wszak bez tego jutro cały dwór o tym będzie wiedział, kiedy się będziemy skarżyć Królowi.

## H E N R Y K.

Aż Królowi chcecie się skarżyć? to musi być ważny jakiś interes? Jeżeli mi go pierwej powierzyć zechcecie, upewniam was, że Król przemie dowie się tak dokładnie o wszystkim, jak gdyby to sam od was słyszał. Ja wam naylepiej przyśięg wyjednam do niego.

Dobrze Mośpanie, opowiem ci 'wszystkie nieszczęścia moie, a chociaż żyiesz na dworze, wśród obyczajów zepsutych, rozumiem jednak, że nie zechcesz się z pochańbienia moiego uragać. Urodziłem się w stanie szlacheckim, ale straciwszy rodziców i majątek w zamieszaniu krajowym, umyśliłem zapomnieć o urodzeniu, i chwycić się jakiegoś sposobu do życia. Kupiłem młyn niedaleko od tego domu, ożeniłem się z córką iednego mieszczanina z Mansfield, i żyłem z pracy rąk moich. W rok iakoś potem, żona moia umarła zostawiając mi córeczkę, iedyny owoc małżeństwa naszego. Piętnaście lat przepędziłem w tym stanie, wszystkie moje starania obracając na wychowaie tego dziecięcia, które kiedyś, nieftaty! miało bydź przyczyną naysroźszych dla mnie boleści. — Dnia iednego powróciwszy już późno z miasta, dowiaduję się od czeladzi moiey że iakis Pan, wpadłszy do młyna z kil-

kunaftu słuźących, porwał córkę moją,  
 i tak spieszno manowcami po lesie ucie-  
 kał, że go ani dogonić, ani pomiarkować  
 niemożna było, w którą stronę się udał,  
 Niepotrafię W Panu opisać jaką roz-  
 pacz ta nowina w sercu moim sprawi-  
 ła. Straciwszy jedyną pociechę starości  
 moiej w tym ostatnim dziecięciu, prze-  
 dałem dobytek, opuściłem młyn, i uda-  
 łem się do Mansfield, gdzie rok cały  
 przeżyłem w boleściach, wołając co-  
 dziennie do Nieba o pomstę za krzyw-  
 dę moją i o śmierć, którąby koniec zgry-  
 zocie moiej przyniosła. Niespodziewa-  
 łem się już więcej widzieć córki moiej,  
 Kiedy oto Ryszard przyjeżdża po mnie,  
 udając jakoby mnie Pan Kokił potrzebo-  
 wał. Co tylko wstąpiłem tu za próg,  
 znajduję córkę u nóg moich zalaną łza-  
 mi, ale radość z widzenia oney prze-  
 mieniła się natychmiast w sercu moim  
 w boleść najsroźszą, kiedy ją znajduję  
 uwiedzioną, z honoru wyzutą i wzgar-  
 dzoną nareszcie od zdrajcy, który ją



szczęśliwi!... Już ten ostatni cios odjął mi resztę pociechy na świecie, i proszę Boga, aby iako najprędzey skrócił nie-szczęśliwe ostatki życia mego!

H E N R Y K.

I Któż to jest ten bezwzględny zwo-  
dziciel, który wam takową krzywdę  
wyrządził?

R Y S Z A R D.

Jest to Pan wielki, i to też nas naj-  
więcey dolega: gdzież bowiem sprawie-  
dliwość znajdziemy na niego?

H E N R Y K.

Alboż to dla tego, że jest wielkim  
Panem, ma mu być wolno bezkarnie  
popelniać występki? Jakże się nazywa?  
może ja go znam.

R Y S Z A R D.

Jest to jakiś Milord, ale zapomnia-  
łem iak się nazywa, bo go tylko raz w  
życiu widziałem, i to w wielkim stras-  
chu byłem na ów czas.

## FERDYNAND.

Ale ja nie zapomniałem napisać sobie jego nazwiska. Poczekaj ieno. (*patrzy w pugilares.*) Jest to Milord Rydyng, synowiec pierwszego ministra.

## HENRYK.

Synowiec ministra? (*na stronie.*) Co za rozpustnik niepoprawiony! ledwo nie codzień podobne zbrodnie popełnia! (*głośno.*) Niepomyślnie jednak moi przyjaciele, iak ten Milord odważył się wybraść waszą córkę nie mając żadnego z nią zachowania? musieli się znać z sobą pierwey?

## ROBERT.

Całą tę intrygę prowadził jego faworyt kóniuszy. Poznał on był Bettyt tu na polowaniu, ale niemógąc iey namówić dla siebie, naraził ją Pantu swemu!

## RYSZARD.

Kiedy ją wykradli zemłyna, trzymano ją zamkniętą przez trzy miesiące w iednym ciemnym pokoju, ale widząc Milord, że iey żadnym postrachem na żądanie swoje nie mógł nakłonić, użył

na to mocniejszy podniety;.. podniety  
własney miłości. Wypuścił ją na wol-  
ność, obsypał kosztownemi darami,  
i dał iey na piśmie przyrzeczenie zaslu-  
bienia iey sobie, a tak odurzył nareszcie  
serce niewinne, nieznające fidei zwodni-  
czych. W pół roku potem obrzydziwszy  
ją wcale, umyślił wysłać ją na okręcie  
do iedney z Koloniow Amerykańskich,  
gdzie miała być zaprzedaana w wieczną  
niewolą. Takim to szkaradnym okru-  
cieństwem chciał ten zdrayca uwolnić  
się od danego przyrzeczenia małżeń-  
stwa, i czarność zbrodni swojej zatrzeć,  
na zawsze; ale Betsy dowiedziawszy się  
o tym od iednego z służących, uciekła  
natychmiast zostawiwszy wszystko, co od  
niego miała, i wczora nad wieczor przy-  
biegła do nas.

H E N R Y K.

Czy podobna, aby ten młotzieniec  
mógł knować tak niehumanne zamysły.

R O B E R T.

Moy Boże przedawac człowieka iak

bydłę i jeszcze to co sam kochał, ah to  
jest nad wszystkie poleciał!

F E R D Y N A N D.

Nieprzestał jeszcze i na tym. Obawiając się, aby dziewczyna mając przy sobie przyrzeczenie małżeństwa na piśmie, nieupomniata się wczasie krzywdy, swej przed sądem, rozesłał szpiegów, aby iey wszędzie szukali. Musiał on się od nich dowiedzieć, że do nas uciekła, bo wpadłszy tutaj ziednym swoim służącym, chciał ją gwałtem porwać z domu moiego. Stawilem mu się jako człowiek wolny na swej ziemi, i odparłem przemoc przemocą. Porwał się na mnie do korda, a ja mu pistoletem błysnąłem w oczy, i niewiem do czego by przyszło, gdyby Niebo łaskawe nienadostało mi było sukursu w obłokach. Błysnęło szczęściem i zagrzmiało ogromnie. Artyllerya Niebieska tak gęsto kanonadę zaczęła z górney swej bateryi, że moy Pan zuchwalec reytrował się natychmiast, zostawivszy na

placu batalii swoj pałasz, który ja iustro, iako znak zwycięztwa, samemu Królowi pokazę.

H E N R Y K.

Bardzo dobrze uczynisz moy przyiacielu.

F E R D Y N A N D.

Ale co W Pan myslisz Mospanie? Czy my wskuramy przecież co u Króla? Zyiąc u dworu, musisz znać iego charakter i iego sposób myślenia.

H E N R Y K.

Nikt go lepley niezna nademnie, i dla tego zapewnić was mogę, że Król nieścierpi, aby naywiększy Pan pokrzywdził bezkarnie naylichszego z iego poddanych. Ręczę wam, że i surowo ukarze tego zwodziciela, i krzywdy wasze nadgrodzić wam rozkaże.

F E R D Y N A N D

Doprawdy? tak W Pan rozumiesz. Na, kiedy tak, to przestańmy się smucić. Robercie, wypijmy za zdrowie dobrego Króla. Ryszardzie, poday tu dzbanek. *Ryszard podaje, a Ferdynand wstaje*



*i zdeymuje kapelusz.*) Do W. Pana.  
Niech żyje Henryk! dobry nasz i spraw-  
wliwy Król!

ROBERT, RYSZARD, (*zdey-  
mując kapelusz.*)

Niech żyje w najdłuższe lata!

HENRYK, (*zapominając się.*)  
Dziękuję wam moje dzieci...

FERDYNAND.

A to za co? wszak my nie W. Pana  
zdrowie piliśmy. Jakoż zaraz znęć czło-  
wieka dworskiego; dziękuję za Pana,  
kiedy mu kto co dobrego życzy, a sam  
często ni- najlepiej mu sprzyja. Na, wy-  
pij ieno i W. Pan za zdrowie Królewskie.  
(*dać mu dzbanek.*)

HENRYK.

Z całego serca. Niechay żyje Król  
Henryk...

FERDYNAND, (*zatrzymując mu  
dzbanek.*)

Ale Moje panie za pozwoleniem Jego:  
Królewskie zdrowie pić się stołacy i

zdiawsy kapelusz z głowy. Janie wiele  
nmiem waszey polityki, ale to wiem  
że Monarchom należy się wszędzie i od  
każdego poszanowanie i respekt.

HENRYK, (*w staie i zdeymuje kapelusz.*)

Niech i tak będzie. Pię tedy zdrowie  
Królewskie.

W S Z Y S C Y

Niech żyje w iak naydłuższe lata!

ROBERT, (*odbiera drbanek.*)

I ia to samo powtarzam: Niech żyje  
nasz Król! (*pię.*)

W S Z Y S C Y

Niech żyje!

HENRYK.

Powiedzcie mi moy Panie Strażnikuz,  
do iakiego stanu przeznaczyliscie was-  
szego syna. Stojąc pod drzewem, sły-  
szałem historyę życia waszego. Zdale  
mi się że przetrawiwszy cały niemal  
wiek na żołnierce, powinnibycie i syna  
do tego stanu sposobić.

## F E R D Y N A N D.

O co o tym wcale niemyszę. Kiedy W Pan słyście moje zdarzenia, nie trzeba mu się dziwić, że nie chciałem uwiązać syna w takim powołaniu, gdzie rzadko zasługa, a najczęściej intryga wygrywa. Po tym nieszczęśliwym porwaniu mu iego, narzeczoney, posłałem go do Londynu, gdzie Hrabia Morley należący niegdyś matki mojej, obiecał był umieścić go w skarbie. Ale się, nieborak i na tej nadziei zawiodł. Straciwszy więcej pół roku na próżnym oczekiwaniu, powrócił z niczym do domu, i więcej już nie chce słyszeć o Londynie.

## R Y S Z A R D.

Oy nie mój bycze, niechcę już więcej słyszeć o tej ziemi obiecanej!

## H E N R Y K.

Coż to ty rozumiesz przez ziemię o biecaną?

RYSZARD.

Tak Mospanie! Obietnice Panów wielkich, są ową ziemią oblecaną Izraelitom, do której od wieków wędrując, jeszcze do tych czas trafić niemogą.

HENRYK,

Jakże? to tedy Hrabia, twoy Protektor nie miał żadnych względów dla ciebie?

RYSZARD.

I owszem bardzo wiele miał względów, bo mi obiecywał zawsze aż do ostatniego momentu.

FERDYNAND

Prawdziwie ci Panowie wielcy muszą rozumieć, że potrzebujący ich wsparcia, same obietnice iść i obietnicami tylko odziewać się mogą.

RYSZARD.

Oy mój oycze! bynajmniej im to nie zaprzatnie głowy, czyi ty iadł dzisniay, albo nie. Doświadczyłem tego cze-

Kaiać o moim chlebie całe pół roku przyrzeczonej mi funkcji. Dziś obiecywano mi strażnikowstwo w Komorze, iu-  
tro miałem być Rewizorem przy soli,  
za tydzień czyniono mi już pewną i nie-  
zawodną nadzieję... a czego?... Oto  
tego żem nic nie wskorał. Zawako-  
wała jedna funkcya, już była obiecana  
komu innemu, do drugiej spoźniłem się  
o kwadrans tylko, trzecią zaspokoiono  
natrętnego kredytora, czwarta poszła  
w nadgodę attencyi jednego podchlebo-  
cy, piątą zakupiono krysę w Parla-  
mencie, szósta, siódma, osma... I aż do  
dwudziestu, wszystko mnie to minęło, a  
zawsze mi obiecywano. Tak tedy śpiąc  
przez pół roku, ocknąłem się nareszcie,  
skończył się mój sen przyjemny, i pozna-  
łem dopiero na jawie, że mój Hrabia  
zamiast o mnie myśleć, cały ten czas  
strawił na staraniu się u dworu o fun-  
kcya dla siebie samego.

ROBERT.

O mój Ryszardzie, widząc tedy z



twojego przykładu, że cnotliwe obyczaje i prosta rzetelność, bardzo mało mają zalety, u Panów.

R Y S Z A R D.

Obyczaje i rzetelność mogą wam posłużyć do wykierowania się... na piwnicznego naprzykład, ale nic więcej. Jeżeli zaś chcecie wyżej postąpić, trzeba wam się wcale w inne usposobić przymioty. Trzeba umieć powtarzać do tonu: *jak, lub nie*; na najmnieysze skinienie kręcić się *jak na kołowrocie*, *stać*, albo *wybiec*, *milczeć* lub *gadać*, *chwalić* czy *ganić*. Umieć na pamięć wszystkie wyrazy podchlebstwa, wszystkie plotki całego niaśta. Rezonować, dysymulować, udawać iunaka! gdy każą, tchorza kiedy potrzeba... a nayıpierwey własnemu sumieniu wieczne nakazać milczenie. Oh! co w ten czas możecie się spodziewać, że wydziecie z czasem na człeka.

H E N R Y K.

Ale *jak* uważam, Pan Ryszard za-

gomina wcale, że i ja jestem dworskim człowiekiem?

R Y S Z A R D.

Proszę mi wybaczyć Miespanie! Jeżeli to opisanie dworów niepodoba się W Panu dla tego że jest prawdziwe, to nie moja wina. Przyznaię iż, że i tam znajdują się bardzo poczciwi ludzie, i chcę wierzyć że W Pan jesteś z tej liczby.

H E N R Y K.

Dziękuję ci przyjacielu, za to dobre o mnie rozumienie, i dałem ci słowo, że gdy zechcesz znowu do Londynu powrócić droga twoja nie będzie daremna i wkrótce się szczęśliwym zobaczysz.

R Y S Z A R D.

Dziękuję unżenie W Panu. Już nie mam ochoty powracać więcej do miasta.

F E R D Y N A N D.

Tak mój Ryszardzie, nie spuszczaaj się nigdy na Panów wielkich. Siedź raczej w domu i uprawiaj swój kawałek roli. Szczupłą cząstkę ziemi dostaniesz po mojej śmierci, ale dobrem prawem na-

bytą. Nie wydarłem iey nikomu, nikt ci iey też wydrzeć nie może. Żyć zawsze z ludźmi nizszemi, a uciekay od miast stołecznych. To czegoś się napałczył w Londynie, przekonało mnie dokładnie, że i najlepszy człowiek musi się zepsuć tam, gdzie wszystko na oparłdzie.

H E N R Y K.

Coż to tak złego przyjacielu, widziałeś w stolicy, co by ci się niepodobało.

F E R D Y N A N D.

Com widział?... O Mospanie, widziałem tam bardzo wiele rzeczy. Widziałem wspaniałe domy, ale żadney w nich gościnności. Widziałem wielkich ludzi, bardzo małe rzeczy robiących. Widziałem po ulicach ekwipaże kosztowne, a u rzemieślników regiestra od lat 10 niezapłacone. Widziałem polityków kassendanzowych dyktujących prawa Narodom. Widziałem Traiedye pocieszne, a smutne Komedye, naboszeństwo na Operze, a igrzyski w Kościele, wiele pychy u Panów, a mało przy-  
miotów

miotow, zdraycow na urzędach, a poczciwych ludzi pod murem . . . Słowem, widziałem świat do góry nogami. — Ale otoż i nasza kucharka.

## SCENA VII.

CIŻ SAMI i MAŁGORZATA,

(z szorką zapasem.)

MAŁGORZATA.

**P**roszę przeysć do naszego alkierza, tam nakryłam stoł i już wieczerza gotową. Będziemy mieli leniwe pierożki, kaszę ialeczną i dwa spore kuraki. A dla Jegomości małdrzyki mi się udały gdyby pomarańcze. Jam się tego nauczyła smażyć, kiedym ieszcze pokoiową była u kuchmistrzowy iednego Xiążęcia. Była to bardzo ładna Pani, Xiąże sam kochał się w niey na zaboy i pod pretextem małdrzykow bywał u niey le-dwo nie codzień. Jam to zawsze widzia-ła iak oni się z sobą schodzili, ale broń

Boże, ani słowa nie wspomniałam przed mężem; bo to bardzo dobre było panisko ten Xiążę, nieraz i mnie się naściakał swawolnik, kiedy Pani nie zastał w domu. O, bo i ja kiedyś byłam też niczego, i cały dwór prawie zanną się ugaśniał. Ale jakem oto poszła za moiego, to człowiek zaraz przy tym gospodarstwie....

F E R D Y N A N D.

No, no, no, obeydzie się Jegomość bez wiadomości naszego pożycia. Idźmy wieczerzać. Proszę Mości Panie, ziemy co Bóg dał, a potym się W Pan położysz, i wypoczniiesz sobie po drodze.

MAŁGORZATA, (*bierze świecę ze stołu.*)

Służę Jegomości, a przy wieczerzy opowiem mu resztę moiego życia. Robertcie prosiemy z sobą. (*odchodzą.*)

F E R D Y N A N D, (*który pozostaje.*)

Ryszardzie, ty potym poydziesz, idź pierwey do komory, i pościel mu łóżko Wyymiy moją pierzynę, i weź matczye



ne poduszki, bo to ten dworski delikacik nie usnąłby na twardym posłaniu. My tę noc i na słomie prześpiemy, a iemu trzeba uczynić wygodę. Któż wie, może on się za nami przyczyni do Króla, a choćby nawet i niechciał nam za to odwdzielić, popowinnością jest pocziwego człowieka nieodmawiać przytulenia bliźniemu.

(*Odchodzą Ryszard do komory, a Ferdynand za drugimi.*)

KONIEC AKTU II.

H 2



---

## A K T III

---

*Teatr reprezentuje tę samą dekoracyą co w pierwszym Akcie. Dzień zaczyna się roz-  
spidniać.*

---

### SCENA I.

FERDYNAND, RYSZARD,

*(wychodzą ubrani z fuzyami na plecach.)*

FERDYNAND,

Po twardych pierogach i kwaśnym  
cienkuszku nasz gość śpi gdyby zabity.  
Niech sobie spoczywa, a my Ryszardzie  
poydziemy tym czasem niżeli rosa opa-  
dnie obaczyć, ieżeli nasze zwierzęta nie-  
przeniosły się gdzieindziej w nocy.

RYSZARD.

Ale coż to jest mój oycze, że Króle-  
wskich myśliwych dotąd niewiadać z sie-  
ciami? Już dobrze na dzień, a iak przed

wschodem słońca nie obstawia kniei, to się wszystkie zwierzęta rozeydą, i Król będzie markotny, że nadarmo przye-dzie w te strony.

F E R D Y N A N D.

Po wczorayszey burzy przemokło to taładaystwo, i spi zapewne na umor, albo też rozgrzewając zaziębione członki, popili się iak bele porterem, to im się ieszcze ciemno w oczach wydaie, bo to u nich codzienna litania. Ale mnieysza oto kiedy przyiada byle tylko mieł na co polować. Na poydziemy Ryszardzie.

R Y S Z A R D.

A przy naszym gościu nikogo] to nie zostawicie? Jak wstanie, nie będzie wie-dział gdzie się obrocić.

F E R D Y N A N D.

Mowiłem moiey babie, żeby mu śniadanie ugotowała. Robert wychędoży iego suknie, aby miał wszystko czyste iak wstanie. . . Ale, ale, a twoja Betsy

jak się ma, czy widziałeś ją wczoraj?

R Y S Z A R D.

Byłem u niej iakeśmy wstali odwie-  
czerzy. Nie chciała się wcale pokazać  
temu dworakowi. Oyciec mi mówił, że  
całą noc płakała i oczu nawet zmrużyć  
nie mogła. Musiała już wstać teraz.

F E R D Y N A N D.

Nieboga dziewczyna, wstydzi się sama  
przed sobą. Ale cóż robić? Już to są  
rzeczy nigdy nienadgrodzone. — nie-  
wiem co za przekłety magnes ci młodzi  
panicze muszą mieć w sobie, że nasze  
kobiety lgną do nich iak zagorzałe. I  
moja stara Małgorzata ( Boże odpuść  
choć to twoja matka ) uważała iak się  
wczoraj przyczepiała do naszego gościa.  
Już dobrze po północy było, a ona mu  
i plotła i plotła swoje androny. A iak się  
to babisko uwiąsało, kręciło i krygowało po  
izbie, dalibóg musiałem się śmiać w du-  
chu. Oy gdyby tak lat dwadzieścia na-  
zad, podobno bym dziś niewstał był z  
tak lebką głową! Ale Idźmy, bo już



słońce niezadługo się pokaże. Pójdźmy  
dziemy najprzód w tę stronę gdzie sara-  
ny. (odchodzą.)

---

S C E N A II.

LURWELL, i CZTERECH ŻOŁ-  
NIERZY.

LURWELL, (*wychodząc misternie z krze-  
winy patrzy za odchodzącym Ferdynandem.*)

**W**Yśmienicie. . . poszli w las obydwaj,  
i nie zostawili w domu tylko same ko-  
biety. Teraz łatwo wpaść możemy, i  
porwać tę hultaykę, która nam tyle  
kłopotu wczoraj narobiła. Ale nie na-  
tym koniec; temu szumnemu Panu  
Strażnikowi muszę należycie skórę wy-  
trzepać. Teraz moi przyjaciele tak  
nam sobie trzeba postąpić. Ja dam znać  
Milordowi, który na mnie czeka we  
młynie, że Strażnik poszedł z swoim sy-  
nem do lasu; powrócimy tu obaj, i wsadzi-  
wszy Jmość Dobrodzieykę w karetę  
dobrze zamkniętą, daley znią do portu,  
a jutro fort do Ameryki w niewolę.

Wy tym czasem staraycie się obstać w lesie strażnika z jego synem. Zwiążcie im wki ręce i przyprowadźcie ich tutaj. Dopiero w obecności Pana nauczymy hultajów morenu, niech znają co to Panowie. Ale ostrożnie się jednak do niego zbliżajcie, bo ta zuchwała bestya, gotów któremu z was w łeb wypalić z swoiey ruśnicy. Rozeydźcie się wszyscy po stronach, a potem niespodzianie w padniecie na nich.

Ż O Ł N I E R Z.

Ale Mospanie ja się obawiam, aby nas w regimencie niekarano za takie gwałty.

L U R W E L L.

Czyś szalony moy bracie. Alboż Milord, który jest Szefem twoiego Regimentu pozwoli wam jaką krzywdę uczynić? Wielki występki, że jednemu drapichroſtowi skórę wytrzepiemy. A od czegożby Panowie wielcy byli Panami na świecie, gdyby im niewolno było po-

dobnych gałganów iak bydłeta iakie mordować? Czy podobna znieść taką zuchwałotę? Wszak to ten obszarpaniec, który nie wiem czy ma dwie włoki gruntu, śmiał mojemu Panu w oczy powleźć, że on tak dobry człowiek iak Mi-lord! O! powywieszać by trzeba takich gałganów.

Z O N N I E R Z.

Ale Mości Panie, gdyby wszystkich ubogich powywieszano, còż by się też z W Panem stało, który także podobno nie jesteś wielkim Panem?

L U R W E D L.

O, to co innego. Ja.. ja.. jestem.. jestem ale to nie na twoją głowę. Napczyńcie tylko co wam rozkazano, my odpowiemy za wszystko. Sprawcie się dobrze, a nadgróda będzie sowita. Biegajcie no prędzey bo wam gdzie zginą w krzewinie. (*żołnierze odchodzą. sam*). Poczekayno Panie Ferdynand Kokli! Strażnikn lasów Królewskich, będziesz mnie ty inaczey śpiewał iak cię ro-

zciągną gdyby niedzwiedzia na ziemi,  
 Sam własną moją ręką wpakuję mu 200  
 bizonuw za moje dwięście Gwineów, któ-  
 rem z iego łaski utracił. Ani lednego mu  
 niedaruję na honor. Kupiłem sobie u-  
 myślnie bizun wsześcioro pleciony, a dla  
 zbiegłej dobrodziejki namoczyłem we  
 młynie 12 miotełek.. Ale cicho Ktoś  
 zdomu wychodzi... umykajmy, aby nas  
 niewidziano. Lecę co prędzey po Mi-  
 lorda, teraz właśnie będzie moment  
 porwać ią z tąd bezpiecznie. *(odchodzi.)*

### SCENA III.

HENRYK, MAŁGORZATA.

HENRYK,

**M**oia Matko, chcę się trochę przeżyć  
 po świeżym powietrzu.

MAŁGORZATA.

Proszę wybaczyć Mości Panie, że mi  
 się dzisiaj poleweczka trochę nie udała

Jayko musiałoby być zatechle. Ale jeżeli, tu Jegomości do obiadu u nas zabawisz, to mu zrobię wcale nową potrawkę, która mu się zapewne spodoba.

H E N R Y K.

Czas mi dłużey niepozwała u was bawić moja gospośiu, jednakże za wszystkie wasze dla mnie gościnności będę wam umiał być wdzięcznym. Pozukajcie tylko teraz waszego męża, bo chciałbym, żeby mnie jeszcze przed wschodem słońca zawioś do Mansfield.

M A L G O R Z A T A.

Musisz Jegomości zaczekać chwilkę, aż powroci do domu. Wyszedł równo ze dniem obeyść stanowiska, żeby Króla mógł prosto na zwierzynę pewną naprowadzić. Ale spodziewam się, że nieza bawem nadeydzie.

H E N R Y K. (*na stronie.*)

Muszę iaki moment pośtać na wielkim gościńcu, jeżeli kogo z moich dwor-



skich niezobaczę przejeżdżającego. ( *do Małgorzaty.* ) Idźcie matko do swojego gospodarstwa, a ja się tu trochę przejdę nad rzeką nim Pan Szaźnik z kniei powróci.

MAŁGORZATA.

Bardzo dobrze, niech Jegomość czyni co mu się podoba, a ja tym czasem pòyde moje krówki wydoić ( *odchodzi i zaraz powraca.* ) Ale, ale, proszę Jegomości, żebyś ztąd nieodjeżdżał niepożegnawszy się zemną, bobym się bardzo gniewała.

HENRYK.

Obaczemy się jeszcze z sobą.

MAŁGORZATA.

Bo ja Jegomości będę bardzo prosić o jedną łaskę. ( *odchodzi.* )

HENRYK.

Dobrze, wszystko uczynię dla was.

MAŁGORZATA, ( *wracając się.* )

Albo też wolę już od razu oświadczyć. Jegomości moje żądania, póki niema w

domu moiego, bo to przy tym starym gdyraczu, człowiek nic zrobić niemoże.

H E N R Y K.

Cóż to takiego powiedzcie mi poufale moja matko.

M A Ł G O R Z A T A.

Tylko bo niewiem... czy to być może... to będzie zapewne bardzo trudno dla Jegomości...

H E N R Y K.

Zobaczemy. Chciejcie tylko przedłożyć wasze żądania.

M A Ł G O R Z A T A.

Oto, iabym chciała, żebyś mnie Jegomość... ale to ani myśleć o tym.

H E N R Y K.

Ną còż przecie? mówcie.

M A Ł G O R Z A T A.

Oto, żebyś mnie Jegomość... żebyś mnie prezentował Królowi iak tutaj przyedzie.

H E N R Y K.

Chętnie bardzo. Będziecie go zapewne widzieli.

M A Ł G O R Z A T A.

Ale czy będę ja mogła przyśtać do niego? może on niezechce ze mną rozmawiać?

H E N R Y K.

I owszem. Król ze wszystkiemi poddanemi rozmawia, i wolno wam będzie tak poufale z nim mówić iak zenną teraz.

M A Ł G O R Z A T A.

Czy to podobna? Ah! còż to za dobre Paniśko bydz musi ten nasz Król? Jeżeli się wam dobrze uda polowanie, a WPan zobaczysz że Król będzie w dobrym humorze, to przyczyn się proszę za nami, żeby nasz Król wziął z tey smutney pułstyni, i żeby nas u swiego dworu ulokował. Moy mąż mogłby bydz naprzykład nadwornym strzelcem, i iabym się zdała choć za kucharkę do Królewskiej

kuchni. Proszę bardzo, uczynię to W  
Pan a ia za tę łaskę codziennie W  
Panu świeże małdrzyki przynosić będę.

H E N R Y K.

Przełożę ia to Królowi, i spodziewam  
się że uczyni zadesyc waszemu żądaniu.

M A Ł G O R Z A T A.

Moy mąż zapewne niezechce służyć  
na dworze, bo on iak diabła nienawi-  
dzi dworaków, ale Król niechay nato  
nie zważa, i niech mu surowo przykaże.  
Ja niepoymulę co u tege starego nu-  
dziarza w głowie? Cała iego zabawa z  
niedzwiedziami kompania. Nie wolę ia  
żyć u dworu? Ah! co to tam za damy  
piękne, iakie stroie, iaka parada, iakie  
czuby na głowie! a naybardziej iakie sli-  
czne chłopcy! gdyby lalki wysmukłe  
Oh! do tychczas zapomnieć nie mogę,  
żem zamłodu była u dworu. Zdaie mi  
się, że wmieście byłoby mi weseli nawet  
umierać.

H E N.

HENRYK.

Kiedy wam się tak bardzo dworskie życie podoba, daję wam słowo, że tam jeszcze dzisiaj będziecie.

MALGORZATA.

Doprawdy? czy niezartujesz Jegomości?

HENRYK.

Na honor wam to przyrzekam.

MALGORZATA.

Ah! niechże Jegomości za to uściśkam serdecznie. (*porywa za szyję i całuje.*) Oy teraz dopiero zupełnie szczęśliwą zostanę. (*na stronie.*) Pójdę czempredzey ułożyć moje mahatki, i dobędę moy garnuszek z pieniędzmi, którem sobie w lesie zakopała. Nayniższa sługa Jegomości. Ah! do dworu, do dworu czem predzey. (*odchodzi z radością.*)



## S C E N A IV.

H E N R Y K. (sam)

Niema człowieka na świecie, który by ze swojego stanu był kontent. Ten, któremu niedza doskwiera, zazdrości Królowi jego dostatków, ale ah! jak wielu Królów zrzekli by się berła i tronu, aby w spokoyności ostatki życia przepędzić! — Ta ucziwa familia warta jest lepszego losu. Strażnik ten zasłużony w woysku, pokrzywdzonym został przez jego kommandantów. Dochodzić tey prawdy otwarcie, byłoby to narobić mu głównych nieprzyjaciół u dworu, do którego chce aby się przeniósł. Trzeba mi zaim tak sobie postąpić aby zyskać szczęśliwość, nieustracił spokoyności, która jest naypierwszą szczęścia zasada. Niedam mu żadnego woyskowego dostojenstwa, aby nieobrocić na niego oczu zazdrosnych jego Jenerałów. Umieszczę

go wicywilnym urzędzie, i starać się będę,  
aby dochody tego, zatarły w nim pamięć  
krzywd poniesionych. — O jak wielu mo-  
że nieszczęśliwych w mym Państwie, ie-  
czy na cudzą niesprawiedliwość, o któ-  
rey ja wiedzieć niemogę! Boże! dla cze-  
goż to Królom, którzy ustawnie nad u-  
szczęśliwieniem ludu czuwać! powinni,  
dla czego im niedałeś wzroku tak by-  
strego, aby w każdym zakęcie ich Pań-  
stwa mogli widzieć istotną prawdę! —  
Ale zdaie mi się, że widzę moich dwo-  
rzanów.

## SCENA V.

HENRYK, TRZECH MILOR-  
DOW I DWOCH GAIOWYCH

(którzy ich prowadzą.)

I. GAIOWY.

**H**Ola hey! Panie Kokli! a wyldźcie no  
tu Waszeć. Prowadziemy wam całą  
bandę hultałów, którycheśmy wczoray  
na uczynku złapali.

HENRYK, (ze śmiechem.)

A iak się macie Milordowie. Jak wi-  
dzą zostaliście złodziejami, czy też ro-  
zbojnikami leśnemi?

PIERWSZY MILORD.

Ah! Najjaśniejszy Panie! co za szczę-  
ście, że W. K. Mość znajdziemy w  
tym miejscu.

DRUGI MILORD.

Poniesliśmy tej nocy bardzo wiele  
niebezpieczeństwa i niewygody, ale za-  
pominamy łatwo wszystkiego, kiedy ma-  
my tę rokosz oglądać W. K. Mość w  
dobrym zdrowiu, i w tak dobrym humo-  
rze. Prawdziwie, całą noc przemysleli-  
śmy o W. K. Mości.

HENRYK.

Spałem dosyć wygodnie w tym oto  
domostwie. Rozstawszy się z wami, tak  
daleko za zwierzem w las zapędziłem  
się, że m się zupełnie obłąkał w gę-  
stwinie. Byłbym może całą noc prze-

pedził na derzczu, gdyby mnie był Strażnik nie napotkał. Nocowałem u niego.

I. G A I O W Y. (do drugiego.)

Toż to mają być Milordowie, którzyśmy wzięli za strzelców?

II. G A I O W Y.

Ato ma być Król Naylańczyzy?  
Oy będziesz nam liho!

H E N R Y K.

Jak miarkuję, ci ludzie musieli was także w nocy napotkać, i zapewne wzięli was za leśnych włóczęgów?

PYRUSZY, MILORD.

Nieinaczey, Naylańczyzy Panie! wzięli nas za kradnących zwierzyne W. K. Mości, i właśnie teraz chcieli nas prowadzić do Sądu.

I. G A I O W Y.

Przepraszamy pokornie JW. Panów. Niedziwota że człowiek w nocy dobrze nie widzi. Rozumieliśmy prawe

dziwie Miłościwy Panie! że sam Panowie czychają na dobro wasze, bo ja slyszalem nieraz w Londynie, że nikt tak Króla nie kradnie, iak iego dworzanie. Otoż to myśmy rozumieli, że ichność są strzelcy, co ponocy biją nam sarny. Zgrzeszyliśmy to prawda, ale Panowie uczynili nam krzywdę, bo nas wzięli za zboyców leśnych, i chcieli nam oddać wszystkie pieniądze, byleśmy im życie darowali. Tak więc wszyscyśmy się nie poznali na sobie. Niechże tedy będzie kwita iedno zadrugie. Wszak bez tego Miłościwy Panie! tak powiada przysłowie stare: że w nocy wszystkie koty szare.

H E N R Y K.

Przez wzgląd na pilność w powinności waszey, spodziewam się, że Milordowie darują wam swoją urazę

MILORDOWIE, (razem.)

Z całego serca Najłaskniwszy Panie



HENRY GAIOWY.

Dziękujemy Jchmościom za przebaczenie.

I. GAIOWY, (*kłaniając się Millordom.*)

I my także przebaczamy, żeście nas Jchmoście zbawcami nazwali.

HENRYK. (*do Gaiowych.*)

Pospieszcie teraz do moiego dworu z oznajmieniem, że tu się znajduję. Niechay całe myśli wasze ciąga się w to miejsce. Dzisiaj od tęg kniei zacznijemy polować.

I. GAIOWY.

Błogosławiemy có tchu Miłościwy Panie.

(*odchodzi.*)

HENRYK.

Podobna omyłka i małe się zdarzyła. Strażnik tu mieszkający rozumiał mnie byż dworzaninem Królewskim. Dla moley uciechy, nie przyznałem mi się kto jestem, i bardzom ztego kontent, bom się dowiedział wiadomości, o któ-

rych bym w zamku moim nie słyszał  
nigdy (*Tu słychać KOKLA wrzeszczącego  
w lesie.*)

Nieprzystępujcie bliżej do mnie, bo  
w łeb któremu zapale!

HENRYK.

Coż to za hałas?... zdaje mi się, że  
kogoś napastują w lesie.

---

S C E N A VI.

HENRYK, MIŁORDOWIE, FER-  
DYNAND, RYSZARD, CZTERECH  
ŻOŁNIERZY z bronią, potem RO-  
BERT, MAŁGORZATA, BETSY,  
nakoniec MIŁORD, LURWELL, i  
DWOCH GAIOWYCH.

FERDYNAND i RYSZARD.  
(*wypadają z lasu i stawiają na środku sceny.*  
Żołnierze biegną za nimi z nadstawio-  
nemi bagnietami.)

FERDYNAND, (*wymierzając ku nim furją.*)

Jeszcze raz powtarzam, nieważcie się  
mnie napastować, bo nie będę winien ie-  
żeli którego trupem położę. (*spozrzega  
Henryka.*) Mospanie, świadczę się Wac-

Panem. Ci napastnicy chcą mnie łapać,  
niewiem dla czego i napadają uzbroje-  
ni na mnie i syna.

HENRYK.

Coż się to znaczy?

ŻOŁNIERZ.

Mamy rozkaz związać ich i do Mi-  
lorda Rydyng zaprowadzić. *(porywa ją się  
znowu,)*

FERDYNAND.

Ey ubiję którego iak dzika!

MALGORZATA, *(wypadając z domu.)*

Coż to za krzyk?

HENRYK, *(do żołnierzy.)*

Nieważcie mi się napastować tych lu-  
dzi! *(żołnierze broni opuszczają.)*

MALGORZATA.

Ah! co widzę? meza moiego iacyś  
zboyeey opadli! hey Robercie, Betay! przy-  
bywacie!

ROBERT, (*wybiega trzymając pałasz Mi-  
lorda.*)

Coi to za gwałt Mój panie?

BETSY, (*spostzegając Henryka,*) z adzi-  
wiona do siebie.)

Pżzebòg co widge? Król tutaj?

LURWELL, (*bieżąc przed Milor-  
dem z batogiem.*)

Jest tu, jest, taszek Mespanie. Bierz-  
cie go i rozciągniecie jak lisę.

MILORD, (*z pistoletem w ręku.*)

Podday się zaraz obieciu albo natych-  
miał... (*tu spostrzega Króla caska się  
w tył przelęknięty i upuszcza pistolet.*)  
Ah! miłościwy Królu!

ROBERT, FERDYNAND i RYSZARD,  
(*zdziwieni chwytając kapelusze z głowy.*)  
Królu!

LURWELL, (*caska się w tył upuszcza kań-  
czug, a żołnierze broń na ramie biorą.*)

MALGORZATA, (*do Betsy.*)

To ma być Król!

BETSY, (do Małgorzaty.)

Tak jest Król, widziałam go nieraz w Londynie.

( *Tu milczenie długie. Wszyscy stoją w zadumieniu.* )

HENRYK, ( do Milorda zimno, )

Daley Mespanie. Coż cię wstrzymuje od wykonania zaczętego gwałtu? ... Człowiek który odważył się zdeptać prawa królowe, poważniejsze nad królów samych, łatwo i Monarchę swojego zelżyć potrafi, i w obecności jego dopełnić zbrodniczych zamiarów.

MILORD.

Miłościwy Panie nigdy się niespo-  
dziewał, abyś W. K. Mógł być tu przy-  
tomnym, zuchwałość tego człowieka  
była tak wielka. ...

HENRYK.

Jak wielka jest w każdym człowieku,  
kiedy broni swojej własności. Jak imże  
prawem napadłeś W Pan na dom jego!



## M I L O R D.

Dnia wczorayszego tak obelżywym sposobem postąpił sobie ze mną. . .

H E N R Y K.

Że ci się zabić niepozwoilił, i dopełnić gwałtu w własnym iego mieszkaniu?

M I L O R D.

Nayjaśniejszy Panie! iest to potwarz zuchwała. Nigdy na życie iego nie nęstawiał.

H E N R Y K, (*biorąc pałasz od Roberta i pokazując go Milordowi.*)

A tenże oręż czyy iest? na kogo był dobyty? kto go tu zostawił? — O nierozumny młodzieńcze. Na toż to przodkowie twoi odebrali niegdyś od Ojczyzny ten znak szlachectwa, aby go ich prawnuki przeciwko własnym obrócili rodakom? I ieszcze po tak czarnych czynnościach, będziesz się śmiał z urodzenia twoiego wynosić?

M I L O R D.

Ale ten pałasz... przez przypadek... upuszczony w tym miejscu...

H E N R Y K.

Przeſtań ſzalbierſtw do zuchwałości przydawać. Próżne są twoje wymówki, wiem już o wszystkim.

M I L O R D, (*kłękając przed Królem.*

Miłościwy Panie, racz mi darować, że przez przedkość...

H E N R Y K.

Wybaczam ci wyſtępek przeciwko powadze moiej; daruję ci leſzcze karę za gwałt, ponieważ ſzczęściem dla ciebie, nie zoſtał ſpełnionym. Ale ci darować nie mogę krzywdy, którą ludzkości wyrządził. W ſtań i ſpojrzyj na tę pańienkę. Czy znasz ją? Możeś iey nigdy w życiu twoim niewidział?

M I L O R D.

Ponieważ już wszystko ieſt wiadome W. K. Mości, przyznaję ſię, że przez

poł roku miałem z nią znajomość, i nie  
które małe, nic nieznaczące. . . miłosne  
intrygi. . . sprawiły. . .

H E N R Y K.

Małe, nic nie znaczące intrygi? —  
Powiedz raczey, podle, hańbiące intrygi  
— Milordzie, czy rozumiesz że wiel-  
kość dostojenstw służyć powinna Panom  
za płaszczyk ich zbrodni? że dla tego,  
iż są wielkimi, wolno im bydź nieludze-  
kami i niesprawiedliwemi? A przy-  
rzeczenież małżeństwa które iey dałeś,  
czy także iest małą, nic nieznaczącą in-  
trygą?

M I L O R D.

W pierwszym zapale miłości zdawała  
mi się bydź godną tego zaszczytu, ale..

H E N R Y K.

Jeżeli ci się taką na ów czas zdawała,  
upewniam że teraz tym godnieysza iest  
twoiey ręki. Dowiedziałem się bowiem,  
że z krwi szlacheckiey pochodzi, i oyciec  
iey przez nieszczęście tylko podupadł.

Rozumiem iż znaydziesz w sobie jeszcze tyle cnoty i zaślubisz ją w przytomności moiej.

M I L O R D.

Ale miłościwy Panie? chcey W. K. Mość zważać na to, że familiia moja tak wielka i do naywyższych podniesiona urzędów... Stryi moy...

H E N R Y K.

Ludzie choćby na naywyższych zostawali urzędach, skoro poniżają się do czynów podługających ich wielkość, obnażają się sami z zaszczytów swoich. Familiia twoja chociaż znakomita w tym państwie, nie różni się przecież w szlachectwie z tym pocziwym człowiekiem. A jeżeli dla tego że jesteś bogatym, sądzisz się być godniejszym nad innych? ... to więc i ten łotr zuchwały, któryby, ci przemocą wydarł twoie skarby, byłby na ów czas szlachetniejszym nad ciebie? — Nie Milordzie. Prawdziwa wielkość człowieka, zależy od wielkości spraw jego. Nieupodlisz się więc zaślub-

biając tę pokrzywdzoną przez ciebie szlachciankę, i ja ci rozkażę, abyś to uczynił.

BETSY, (*padając do nóg Królowi.*)

Miłosciwy Monarcho! niechaj łzy moje będą powodem wdzięczności zate do broczynne względy twoie, na które nie zasłużyłam bynajmniej. Ale pozwól mi W. K. Mość nieprzyymować ręki tego przewrotnego człowieka, który mną wzgardził dla tego, że go zbyt wiele kochała. Nie, nigdy żoną jego nie będę. Człowiek który potrafił chcieć zaprzedać w wieczną niewolą kochankę swoją, z żoną do której mieć będzie prawo, obchodziłby się jak z najpodlejszym zwierzęciem. Poznawszy czarność duszy jego, wolę umierać w ostatek niedoli i hańbie, niżeli dzielić z nim największe bogactwa. (*oddając papier.*) Składam w rękę W. K. Mości, to świadectwo zbrodni jego i mojej ławowierności. Niech go odbierze, niech się zawstydydzi czytając wyrazy swoje, a jeżeli.



żeł ieszcze poprawić się może, niechay  
 ja ostatnią już będę ofiarą nierządów  
 tego. Całą nadgroda nieszczęśliwości mo-  
 ich niech to dla mnie zostanie, żeby o  
 mnie zapomniał na zawsze.

### H E R R Y K,

Patrzay do iakiego upodlenia przy-  
 wiodły cię bezwstydyne twoie występki,  
 kiedy iedna nayuboższa dziewczyna  
 gardzi tobą, a która iednak kochała cię  
 w ten czas, gdy cię bydz cnotliwym są-  
 dziła (*do Betsy.*) Moie dziecię niechcę  
 ja bydz przyczyną nieszczęśliwości po-  
 życia twoiego. (*do Milorda oddając mu*  
*papier.*) Odbierz nazad ten dowód wspa-  
 miałości i ey duszy, a szalbierstwa two-  
 iego. Przykazuję ci tylko, abyś w nad-  
 grodę iey krzywdy, uczynił iey natych-  
 miały zapis wypłacania corocznie aż do  
 śmierci, 1000 funtów szterlingów. Te-  
 mu zaś poczciwemu Starcowi, abyś wy-  
 budował młyn nowy, i całe iego gospo-  
 darstwo do dawnego przywrócił stan.

ROBERT, (*padając do nóg.*)

Niechay, Najjaśniejszy Panie! odbiorę tylko to, com utracił z iego przyczyny, wstydzilbym się bowiem przyjmować dary od tego, który mnie wiczysztą hańbą przyodział.

HENRYK,

Nadgroda pokrzywdzonym, a karą występny mnależy. (*do jednego z Milordów.*)  
Milordzie! Niechay ci żołnierze, którzy wazyli się dopomagać gwałtów temu rozpustnikowi przykładnie ukarani zostaną; ten zaś usłużny koniuszy, niechay na rok do domu poprawy oddany będzie. ( *jeden z Milordów daje znak żołnierzom, którzy otaczają Lurwella i wychodzą.*)

FERDYNAND, (*podnosi kańczug i oddaje go jednemu z żołnierz.*)

A niezapomniycież przecie tego dyfynktoryum iego staiennej powagi, może się teraz zda tam i na niego.

MILORD, (*padając do nóg Króla.*)

Sprawiedliwy Królu zasłużyłem i ja

na karę surową, ale przez wzgląd na  
 żal mój szczery i obietnicę zupełney  
 poprawy, daruy młodości mojej, i przy-  
 wróć mi dawny szacunek.

H E N R Y K.

Dla zasług stryia twoiego, daruję ci  
 ten raz ostatek, niechcę nawet, aby ten  
 pocziwy starzec wiedział o tym przy-  
 padku; mógłby on przynieść zgryzotę sta-  
 rości lego Wstań, a pamiętaj: że tylko,  
 dobre obyczaje, miłość Ojczyzny i  
 ludzkość, są prawdziwym dowodem  
 szlachectwa.

B E T S Y.

Miłościwy panie, niechay mi wolno  
 będzie jeszcze jedną prośbę zanieść do  
 Tronu twoiego. Ten zapis któryś mi  
 W. Królowa Mość łaskawie przysa-  
 dzić raczył, rozkaż, aby wydany był na  
 osobę tego pocziwego młodzieńca, któ-  
 ry tyle przezemnie ucierpiał. Ustęp-  
 iąc mu tę nadgodę moją, obym w  
 nim zatrzeć potrafiła pamięć wszy-  
 stkich boleści i uczynić go zupełnie szczę-  
 śliwym!

K 2

## RYSZARD.

Ah! ta wspaniała uczynność, zagładzana zawsze wszystkie przewinienia twoje! Wracam ci nazad me serce, i oddaę ci rękę moją, jeżeli cię to uszczęśliwić może.

## BERTA.

Nie Ryszardzie. Niewartam abyś mi przebaczył, i niemożesz mi przebaczyć. Jeżeli jednak żal i pokuta uczyniła mnie z czasem godną twojej miłości, wtedy nie będę się wstydzila daru ręki twojej.

## RYSZARD.

Ah! nigdy cię nieodstąpię do śmierci.

## HENRYK.

Sercom waszym rozkazywać nie jest w mojej mocy. Moje dzieci, czyńcie co wam uczucia wasze doradzią.

## FERDYNAND.

Na teraz na mnie kolej. (*Kłękając przed Królem.*) Miłościwy Panie, tyle łaskawości, które tu W. K. Mość tak

wielkie daleń dowody, spodziewać mi się  
 każe, że i mnie darować raczysz, iż tak  
 po grubiańsku postąpiłem sobie z W. K.  
 Mością dziśniejszey nocy. — (*Henryk do-  
 bywa szpady, a Ferdynand porywa się prze-  
 straszony.*) Ah! Miłościwy Panie! nie za-  
 służylem zdać mi się na tak srogą karę!

#### H E N R Y K.

Zostań na kolanach i nie obawiaj się  
 niczego. Tak mój poczciwy Strażniku a  
 teraz (*uderza go szpadą po ramionach.*)  
 pasowany Rycerzu nie tylko niemam ci  
 nic do przebaczenia, ale nadto czuję, że  
 bardzo wiele ci winien. Odbierz więc  
 nadgodę zasług mnie tylko wiadomych,  
 i twojej gościnności dla mnie. — Milon-  
 dowie! Ferdynand Kokl, jest teraz  
 wielkim Łowczym moim, a dla utrzy-  
 mania dostojności tego urzędu, dziesięć  
 tysięcy Gwineiów wyznaczam mu coroc-  
 cznie. Właści w pomyślności używaj  
 mych darów.



## FERDYNAND.

Najłaskawszy Monarcho, wdzięczność  
moja wraz się z życiem moim dopiero  
skończy. Wiąknijcież bądź stanie  
umieści maie dobroczynność twoją, za-  
wsze mnie równie wiernym, równie  
przychylnym sobie, znajdziesz podda-  
nym.

M A Ł G O R Z A T A.

Ah! niechże nieba życie W. K. Mości  
w setne lata przedłużą ( *ściska go za  
nogi.* )

H E N R Y K

Moja gospośiu dotrzymałem wam sło-  
wa. Widziałś Króla, mówisz z nim i  
dziś jeszcze będziesz u dworu.

M A Ł G O R Z A T A.

O i ja także dotrzymam swego sło-  
wa, i jak tylko stanę u dworu, zaraz  
Pani Łowczyzna wielka przyniesie wam  
świeże matdzyki.

( *Tu słychać waltornie myśliwskie.* )

## HENRYK.

Otoż i moje myśliwstwo. Zaczniemy więc polować, nim rosa opadnie. Pana Koklą uwalniam od tej satygi, niechay się wybiera w drogę, abym go na moim dworze dziś jeszcze oglądał. Ryszard pokaże nam gdzie się zwierzyna znajduje. (*Henryk, Milordowie, Ryszard i cały dwór wychodzą. Słychać znawu waltornie grające marsz myśliwski.*)

MAŁGORZATA, (*po odeysciu Króla.*)

A My, dali układać nasze manatki. Na Robercie, na Betsy, pòydzmy, bieżmy, zabieraymy, pakuymy wszystko... a niezapomniycie moiej patelni od małdrzyków. Oy! do dworu, do dworu, czympredzey. (*Robert, Betsy, Małgorzata wchodzą do domu.*)

---

## S C E N A   O S T A T N I A.

F E R D Y N A N D, (*sam.*)

(*Stoi przez nieiaki czas zamysłony, nareszcie porywa się raptem.*)

**C**Zy ja śpie? czy to wszystko było na-  
lewie!... Ale nie, ruszam się, chodzę!  
widziałem Króla, słyszałem go mówią-  
cego, i czuję jeszcze uderzenie, które-  
mi dał poramieniu... To więc i ja te-  
raz jestem Panem całą gębą?... Tak  
jest... Ale o jak wiele przyczyn i w-  
tey nowey szczęśliwości moley, zaaydu-  
ję do zastanowienia się nad dziwaczym  
losów zrządzeniem! — Lat 20 dzwi-  
gałem karabin, służyłem wiernie Oy-  
czyźnie, wygrałem kilka bataliów, nie  
dano mi fenika w nadgrode! Dałem Kró-

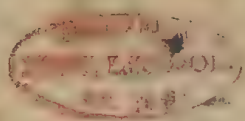
lowikwałnegocienkuszu i twarde łóżko  
w komorze, zostałem za to urzędnikiem  
wielkim, i do tego bogatym! — Praw-  
dę widzę śpiewał mój Bakalarz:

W Świątynie, w miasta na dwory,  
Wszędzie nieszlusność się w krada:

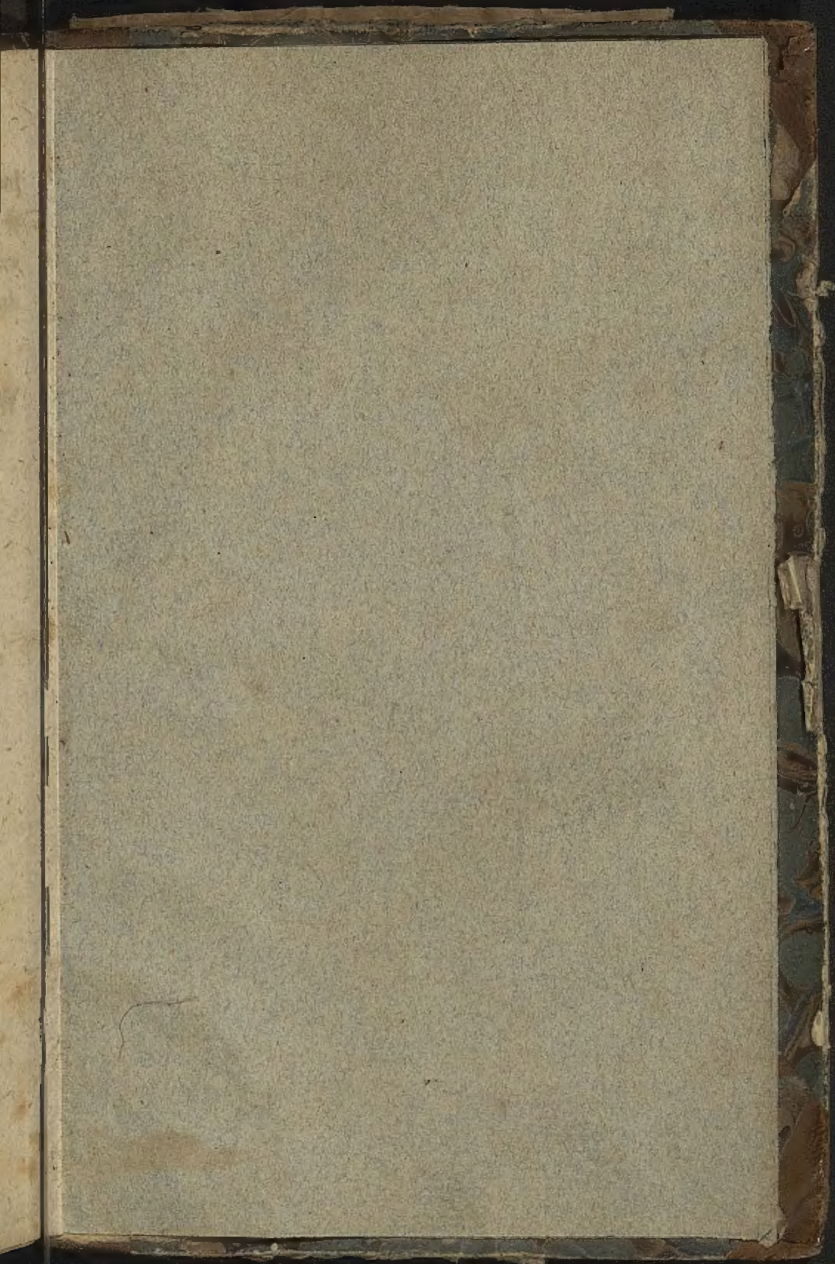
Intryga idzie do góry,  
A zasługa upada!

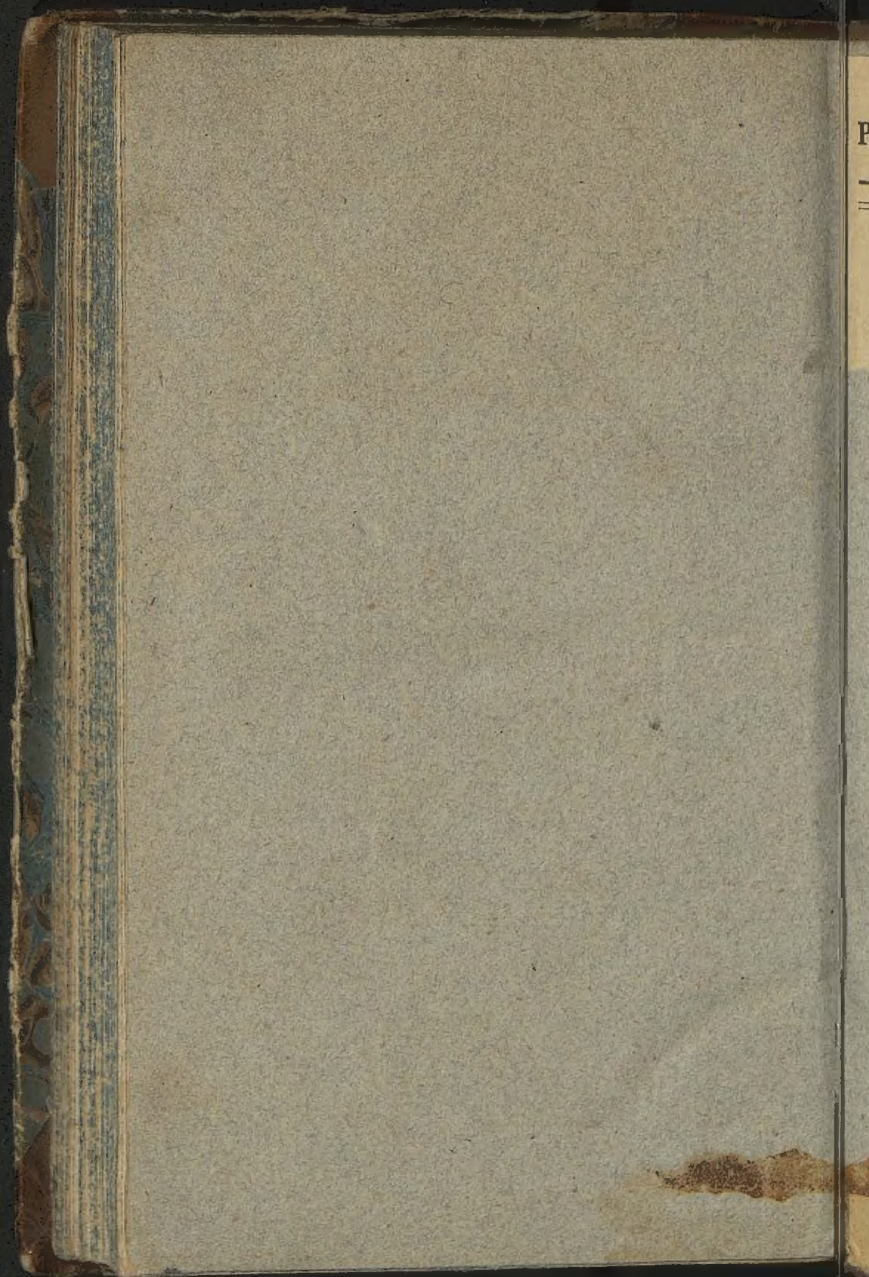
K O N I E C   K O M E D Y I .













P. P. DOM P. P. DOM KSIĄŻKI  
— ANTYK — ANTYKWARIAT —

\* 00 \* 013101

Biblioteka Jagiellońska



stdr0006091

